NA · TROPIE

PISMO MŁODZIEZY POLSKIEJ

Rok VI. Nr. 20

Katowice, dnia 24 grudnia 1933

Radości życia i pogody,
Dzielności i prawości,
Sił i hartu,
Czynu w imię dobrej sprawy

z okazji

Świąt
Bożego Narodzenia

życzy czytelnikom
i współpracownikom
„Na Tropie“

REDAKCJA.



Helena Zakrzewska.

WIGILJA MAĆKA KOŚLAWCA.

Mróz... mróz... mróz! Szczypie bezlitośnie w nos, w uszy, w ręce, zapiera oddech, wwierca się w płuca. Śnieg skrzypi pod nogami. Na granatowem niebie zapalają się pierwsze gwiazdy. Na gościńcu dzwonią sanki. Słychać wesołe prychanie koni. I one cieszą się na bliskość ciepłej stajni, na żłób pełen owsa i pachnącej sieczki. Okna chałup świecą gęsto, jedno przy drugiem. Wszędzie dziś światło, krzątanina, wesele. Wiadomo, to wigilja. Smakowite zapachy zdają się rozwłóczyć po polach drażniącą podniebienie falą. Śnieżne płaszczyzny lśnią miljonem brylantów. Za chwilę, w tych wszystkich jasnych, czysto wymieconych izbach, szczęśliwi ludzie zasiądą do wieczerzy. Dla wszystkich dziś radosna, święta noc.

— Ino nie lo mnie! ino nie lo mnie! — użala się nad sobą Maciek Koślawiec, ocierając mokry od łez nos rękawem poszarpanej cuchy.

Fala gniewu i goryczy zalewa mu serce. Przyspiesza kroku o ile tylko mogą pozwolić na to jego koślawe nogi. Zmarzłe grudy śniegu kaleczą mu obolałe stopy. Śnieg chrzęści i skrzypi, jakby naśmiewał się z niego. Takiemu to wszędzie źle...

Bóg wie, jak toto przekuśtykało przez życie. Póki był młodszy, wysługiwał się, gdzie mógł i jak mógł. Tłukł się po wsiach okolicznych od chałupy do chałupy. W Zakopanem, w Kuźnicach, w Kościeliskiej plątał się na postoju fiakrów, odprzęgał i poił konie, zmiatał nawóz — takie popychadło do wszystkiego. Życie mu zbiegło, sam nie wiedział jak. Żywił się tem, co mu ciśnięto z łaski. Nocował byle gdzie. Nie miał żadnych wymagań od życia, szczytem marzeń bywał dla niego garnuszek ciepłej zupy, albo nocleg w ciepłej stajni, u jakiegoś litościwego gazdy. Czasem furmani dla zabawy poili go wódką i pijanemu kazali tańczyć na środku karczemnej izby. Tańczył, czemu nie miał tańczyć? Kręciło mu się w głowie i pokrzywione nogi plątały mu się niemiłosiernie jakby ich miał całe mnóstwo... Śmiali się do rozpuku widzowie. śmiał się i on. Zabawiał ich z dobrego serca, nie za ten kieliszek wódki, o nie! Cieszył się, że stawał się na chwilę ważny, że spoczywały na nim ludzkie oczy, że wogóle — był. Innej ambicji nie miał. Bo i cóż po ambicji takiemu, jak on? Żył... i to było wszystko.

Dopiero dziś niespodzianie coś go napadło. Prawda, dzień miał od rana zły. Nigdzie nie było dla niego roboty, nikt nie chciał mu dać kęsa chleba, ani uchylić drzwi od szopy. Mróz był siarczysty, no i wiadomo, ciężkie czasy, to ludziom na humor dobrze nie wpływa. Plątał się cały dzień od postoju do postoju wszędzie go sklęli i kazali iść precz. Zsiniały z zimna i z głodu, włókł się przed siebie, nie wiedząc dokąd i poco. Z jakiejś otwartej sieni buchnął na niego ciepły zapach świątecznego pieczywa. I nagle chwyciła go złość. Na cały świat, na ludzi, na święta, na mróz, na swoje bezlitosne sieroctwo. Zaczął biec w górę, pierwszą lepszą ścieżką, ku Reglom. Odejść daleko, daleko, zatracić się bez pamięci! Rósł w nim nieznany dotąd żal i gniew. Poszedł na udry z mrozem, na udry z roziskrzonym śniegiem, na udry z niebiem i ziemią. Po raz pierwszy w życiu zbuntował się sam w sobie i ten bunt rozgrzał go, nasycił, napełnił siłą.

Sapiąc i świszcząc przez nos od srogiego zimna Maciek wygramolił się na stromą perć i spojrzał w dół ze wzgardą.

— E cos mi po tobie, ty skapany świecie! — zachrypiał gorzkim śmiechem. — Ni mioleś ty lo mnie miejsca, nie stojem i jo o cię. Udowcie sie wasom wigilijom, ozpuknijcie sie od masnego jadła. Mnie od wos nic nie potrza, jo se som wigilijom zrobiem, ba lepsom od wasego zarcia.

Pogroził pięścią dolinie, błyskającej tysiącem świateł, odwrócił się do niej plecami i zapuścił się percią w las, po śliskiej, nartami ujeżdżonej koleinie.

Dziwne uczucie prze go naprzód, pomimo mrozu, ścinającego krew w żyłach. Po raz pierwszy w życiu czuje w sobie moc gniewną i wspaniałą. Zapadłe piersi rozdymają mu się dumą. Insza to radość, niż tańcowanie w karczmie dla pijanej gawiedzi. Tu patrzą na niego oczy błyszczące i życzliwe, oczy promiennych gwiazd. Tu chylą się przed nim świerki, ustrojone w brylantowe korony. Tu ściele się pod nim kosztowny dywan śniegu, biel niepokalana, jak chrzestna koszula, której nigdy może na sobie nie miał... Tutaj, tylko dla niego, drga powietrze dźwiękiem uroczystych organów. To jest prawdziwa wigilijna noc!

Z pod nóg wyrwał mu się zając klapouchy. Staje słupka, spogląda Maćkowi w twarz i śmieje się do niego błyskiem wystających zębów. A potem kic... kic... pomyka ścieżką w górę.

— Is, towarzisa mom! I ty ze mnom na wigilijom idzies? — pyszni się Maciek, podrygając na swoich koślawych nogach. Coraz mu weselej na duszy.

Koło niego rozlega się chrzęst, trzeszczą gałęzie, skwirczy zmarznięta gruda. Z gęstwiny wyłania się jeleń. Rozłożyste rogi lśnią mu w świetle gwiazd, jak pozłacane. W oczach ma blask. Za nim tłoczy się stadko łań. Na widok Maćka stulają się w ciasną gromadkę. Ale jeleń nie daje hasła do ucieczki. Zatrzymał na Maćku blask swych wielkich oczu i zwolna wstępuje na ścieżkę. Teraz już idą razem w górę, zając, jeleń z łaniami i Maciek.



— Haj, goście sie ku mnie garnom! — dziwi się Maciek, przyspieszając kroku, żeby nadążyć towarzystwu.

Razem już jedni za drugimi, wydrapują się na odkrytą przełęcz. Mróz gra tu po zboczu orkiestrą przeciągłych, jękliwych tonów. W górze snopami iskier strzela wielka gwiazda. Na skręcie ścieżki czerni się coś ciemnego, zwalistego, człek nie człek...

— Chryste! „on"-ze to som! — zadygotał Maciek w napadzie obłędnego lęku. Poznał wyraźnie śpiczasty pysk i małe, sterczące uszy. Chciałby uciekać, ale przemarzłe stopy przywarły mu do ziemi.

Niedźwiedź podnosi w górę wspaniały łeb, wietrzy życzliwie i pochrapuje przez nos. Ciężko, ale nie bez wdzięku, skręca na ścieżkę i, przewalając się z łapy na łapę, sunie tuż obok Maćka. Koślawiec nabiera tchu, mimowoli rusza z miejsca i drepce za niedźwiedziem.

— Ot i nowy kumoter. Kaz to idziecie, swoku? — rzuca odważne pytanie.

Niedźwiedź prychnął, strzepnął kudłami i kołysze się dalej w cichym biegu. Za Maćkiem coś się kula po ziemi. Słychać przeciągły gwizd. Trzy zaspane świstaki wylazły skądś z pod kamieni i toczą się żywo za gromadą. Chrzest śniegu słychać stąd i zowąd. Całe Tatry ożyły i spieszą dokądś w blasku promienistej gwiazdy. Maćkowi plączą się nogi. Boi się, że nie nadąży. Zwija się, aż mu pot ciurkiem kapie po oszronionych policzkach. W powietrzu drgają dziwne tony. Śpiew, nie śpiew, anielskie granie... Błogość czegoś przeczuwanego, co stać się ma za chwilę...

Jak wicher przeciągnęło koło Maćka stadko rozbrykanych kozic. Teraz jest już rzeczą oczywistą, że wszystko, co żyje, dąży w jednym kierunku. Za gwiazdą!

— Sycko to wi, ka idzie, ino jo nie wiem nic! — użala się nad sobą zadyszany Koślawiec. Chrypliwy oddech rozrywa mu piersi. Radość nagle opadła. Sił coraz to ubywa. Coraz bardziej plączą się krzywe nogi. Czworonoga gromada coraz prędzej oddala się od niego. Byle zdążyć, byle tylko zdążyć. Byle tylko dobrnąć do hali...

— Dalekoz-ta jesce? — wyrywa się nagle bolesny krzyk z piersi Maćka? — Jezu miłosierny, dalekoz-ta jesce?

Łzy strumieniem buchają mu z oczu.

— Nie prec! nie prrrec! — zakrakał mu w odpowiedzi orzeł, płynący w powietrzu na szeroko rozpostartych skrzydłach. — Nie prec!

A niedźwiedź, jakby użalił się smutnej doli Koślawca, zatrzymuje się w górze, na krawędzi skalnej i zdaje się czekać na niego. To dodaje Maćkowi otuchy. Przez śnieg nieprzetarty, przez fale bezlitosnego mrozu, prze się naprzód i naprzód, choć serce coraz bezładniej stuka w starej, zmęczonej piersi.

ŚWIĘTA, ŚWIĘTA!

Na brzegu ślizgawki stoi zawsze szereg gapiów. Różne, biedne dzieciaki wpatrują się uporczywie w ślizgających się łyżwiarzy, aż póki mróz nie spędzi ich do domu. Lolek, mijając je, odczuwał zawsze pewien rodzaj zażenowania, a już prawdziwie speszył go Józek, kolega szkolny, który niespodziewanie wybiegł z tej gromadki i zawołał prosząco:

— Lolo, pożycz mi łyżwy! Tylko na chwileczkę! Pożycz mi...

Lolek prędko wspaniałym łukiem przeniósł się na drugą stronę ślizgawki. Właściwie, to nawet mógł pożyczyć te łyżwy, ale tracił zawsze pewność siebie wobec uboższych od siebie kolegów. Nie bardzo wiedział, jak z nimi gadać, więc wolał nie gadać z nimi wcale. Lolek zły był potężnie na Józka za tę prośbę.

* * *

Wracając ze ślizgawki do domu, Lolek przypomniał sobie, co mówił mu któryś z kolegów o Józku. Podobno on ma na współkę ze swoim bratem tylko jedną parę butów. Jak jeden wychodzi, to drugi musi zostać w domu. Całe szczęście, że Józek chodzi rano do szkoły, a jego brat popołudniu... I, że ta mała, co żebrze zwykle wieczorami koło teatru, to podobno jego siostra...

— Że też to tyle nędzy jest na świecie — westchnął niechętnie Lolo.

* * *

I znów przypomniał sobie Lolek o Józku w chwili, gdy w najradośniejszym nastroju po wigilji, stał wpatrzony w pięknie oświetlone drzewko, obejmując czule otrzymane podarki: narty i cały, wspaniały ekwipunek narciarski. Mamusia siedziała przy fortepianie, grała i śpiewała kolędy. Lolkowi serce zaczęło bić niespokojnie na myśl, co teraz może robić Józek? Zaczęły mu przychodzić do głowy jakieś niby to dobrze znane, ale jakby niezrozumiane dotąd zdania:

— a na ziemi pokój ludziom dobrej woli...

— pokój ludziom, czyniącym dobrze z miłości dla bliźniego...

— pokój ludziom, którzy nakarmią łaknącego...

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku życzę Wam, abyście w Waszej szarej, codziennej pracy umieli znaleść źródło radości i mocy, abyście na drodze Waszego życia nie zatracili młodzieńczego entuzjazmu, ukochania naszych ideałów i zdolności do czynu!

Dr. Michał Grażyński
Przewodniczący Z. H. P.

Lolek nic dobrego dziś nie zrobił i dlatego nie miał spokoju. Odmówił prośbie biednego chłopca. Przeszedł obojętnie obok jego nędzy. A przecież drużynowy mówił — Lolo przypomina sobie to teraz — że harcerz musi mieć oczy otwarte; dostrzegać, kto w jego otoczeniu potrzebuje pomocy i nieść tę pomoc. **Kto obojętnie patrzy na cierpienia drugich, ten nie może być harcerzem!**

A Lolek przecież chce być harcerzem i to harcerzem nie od parady!

Jeszcze chwila zastanowienia i Lolek wie już co czynić należy. Podbiega do matki:

— Mamusiu, ja mam takiego biednego kolegę, który nawet butów niema, a jego siostra żebrze. On prosił mnie dzisiaj o pożyczenie łyżw, a ja mu odmówiłem. Teraz tak sobie myślę, że — skoro mam narty — to już mogę się obejść bez łyżew. Czy pozwolisz mu je dać? Ale musiałbym mu je dać z bucikami. A jak będzie zbiórka, to poproszę zastępowego, żeby mi pomógł zorganizować jakąś pomoc dla tego Józka. Żeby zawsze miał zeszyty i książki do szkoły i żeby nie marzł. Temu jego bratu też trzeba będzie pomóc. I żeby ta jego siostra nie musiała już żebrać... — Lolek wypowiedział to prędko, jednym tchem, aby nie pokazać po sobie wzruszenia.

A mamusia spojrzała na niego badawczo, potem uśmiechnęła się i rzekła:

— Dobrze, zgadzam się... Tylko dotrzymaj swego postanowienia!

Naraz jęk ulgi wyrywa się z warg, zdrętwiałych od chłodu. Ktoś jest na hali. Pomoc, ratunek, wybawienie! Przez szpary w opuszczonym szałasie widać jaskrawe światło. Promienista gwiazda oblewa halę smugami brylantowych iskier. Coś białego, lekkiego szuści w powietrzu, łagodny szum puchowych skrzydeł, skrzypcowe tony melodji... Drzwi od szałasu otwarte są na oścież. Do nich ciśnie się nieprzeliczona gromada wszelkiej górskiej żywizny. Ruch koło szałasu okrutny.

Onieśmielony, a przecież gnany niezwalczoną siłą, przeciska się Maciek pomiędzy stadkiem kozic, sarn, jeleni i Bóg wie, czego tam jeszcze. Nie patrzy na nic, nic nie widzi, prócz tego oślepiającego światła we wnętrzu szałasu. Nareszcie dopada do progu i trwożnie do drzwi się przytula. Mruga olśnionemi powiekami. Przeciera rękawem cuchy zalane łzami źrenice. Oczom swym wierzyć nie może.

W szałasie jasność wielka. Garść siana pośrodku. Na sianku leży bielutkie Dzieciątko. Blaski odeń biją naokół. Nad dzieciątkiem nachyla się słodka twarz rodzicielki. Siwowłosy starzec kosturem odsuwa zwierzątka, cisnące się do dziecka nazbyt natarczywie. Dzieciątko ze śmiechem trzepie rączkami. Właśnie chwyciło za kudły niedźwiedzia. Śmieje się i popiskuje z uciechy. Uśmiecha się matka, uśmiecha się dostojny starzec.

Maciek runął na ziemię i czołem o próg bije. Pięściami wali się w piersi.

— To haw, to haw, w nędznym sałasie, tuś się narodził, Panie! To tutaj... niegodzien ja, niegodzien! — szlocha w bezprzytomnem uniesieniu.

A potem patrzy po sobie i ze wstydu twarz do progu przyciska.

— W takik łachmanach ja przisel! na takie święto... Ręce ściarane, portki w dziurach... przed Twoje jasne oblice...

W gorzkim szlochu targa mu się serce. Nigdy dotąd nie czuł tak bardzo nędzy swej i poniżenia.

Dzieciątko odrywa piąstki od kudłów niedźwiedzich i oczy świetliste zwraca do postaci, skulonej przy progu. Różane usteczka zaczynają drgać, jak do płaczu. Użaliła się Dzieciątka matka.

— Podźże haw, Maćku Koślawce! Nie wstydaj sie swoij biedy. U nas tys nie bogato! Podź, Dzieciątko fce cie powitać!

Na kolanach czołga się Maciek ku maleństwu. Łzy zalewają mu oczy. Już jest blisko. Rękę nieśmiało do bożych stópek wyciąga. I nagle widzi przed sobą cud jaśniejącego ciałka. Ośmiela się podnieść głowę. Serce w nim staje z zachwytu. Dzieciątko uśmiecha się do niego. Maciek Koślawiec jeszcze nigdy nie widział takiego uśmiechu. Spływa mu on do piersi pieszczotą bez granic. Rozlewa się po żyłach ciepłem, jakiego nigdy nie doznało jego ciało. Syci, i koi, i ucisza...

— Jezusieńku! — szepcze ostatniem tchnieniem ust — Jezusieńku...

Rączka dzieciątka z czułością dotyka jego czoła i miękką pieszczotą przesuwa się po twarzy. Uśmiech niewypowiedzianego szczęścia opromienia wynędzniałą twarz Maćka Koślawca. Anielskie pieśni buchają w niebo radosnym chórem. Wtóruje im pomruk wszelkiego zwierza u wrót szałasu.

— — — — — — — — — — — —

W pierwsze święto znaleźli Maćka narciarze w opuszczonym szałasie. Leżał, wtulony głową w wiązkę siana, z wyrazem takiego uniesienia na twarzy, że przyklękli na progu, jak przed ołtarzem...

W powietrzu pachniały jeszcze róże...

Wszystkim Druhnom i Druhom-Czytelnikom „Na Tropie" życzę wiele radości i pięknych przeżyć w czasie Świąt Bożego Narodzenia, a w nadchodzącym Nowym Roku sił i zapału do pełnienia harcerskiej służby.

Jadwiga Wierzbiańska
Naczelniczka Harcerek.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia przesyłam zuchom, harcerzom, starszym harcerzom i całej starszyźnie staropolskie — „Wszystkiego najlepszego"!

Zarazem życzę Wam gorąco, kochani druhowie, aby rozpoczynający się rok 1934 przeszedł w Waszej służbie pod znakiem realizacji hasła: „Bądźmy uczynni i uprzejmi".

Tomasz Piskorski
p. o. Naczelnik Harcerzy

W przedpotopowej dżungli.

(z angielskiego Es. k.)



(Dokończenie).

W pewnej chwili wybuchnął w ciemną, spokojną noc dziwny krzyk, coś w rodzaju gwizdu lokomotywy, połączonego z skrzekiem nadeptanej żaby wielkości hipopotama. Wszelki zwierzęcy głos, z jakim dotychczas Jim miał sposobność się zetknąć, mógł się naprzeciw tego wydawać łagodnem chrząkaniem wieprza.

Wszyscy trzej wędrowcy stali w jednej chwili na równych nogach, wlepiając w gęstą ciemność przerażone oczy.

— To przyszło stamtąd — wyjaśniał Jim, wskazując w kierunku dżungli pod skałami.

Gdy krzyk wybuchł po raz wtóry, profesor i Anzac chwycili za strzelby. Przeraźliwy skrzekogwizd mieszał się teraz z równie ogłuszającym kwikiem, który robił wrażenie krzyku zarzynanego zwierzęcia. Doleciały ich wyraźne odgłosy łomotu walki jakichś potwornych bydląt.

— Szymonie Słupniku — jęczał Anzac — gdybym był w Afryce, przysiągłbym, że tam tarzają się w śmiertelnej walce słoń z nosorożcem. Ale tu przecież tych zwierząt wcale niema, wogóle niema tak wielkich zwierząt.

— To wcale nie jest pewne, wcale nie jest pewne, mówił podnieconym głosem profesor. Dżungle górnej Amazonki nigdy jeszcze nie były zbadane, nikt nie wie, co się tu może kryć.

— Dzięki Bogu, tu na wysepce zdaje się ich niema, pocieszał się Jim.

Nie trzeba dodawać, że Anzac wcale tej pewności nie miał.

Potwór.

O świcie straszliwe ryki zamilkły, dzięki czemu mogli pozwolić sobie na dwie godziny tak bardzo potrzebnego im snu.

Po przebudzeniu się, ujrzeli w świetle dziennem dżunglę i całą jej okolicę równie pustą i zamgloną niebieskim oparem, prześwietlonym ostrym blaskiem słonecznym, jak wczoraj, zaraz po przybyciu tutaj. Zjedli obfite śniadanie i gorączkowo zaczęli się przygotowywać do wyruszenia łódką, celem zbadania dżungli i otaczających ją skał. Wszyscy pragnęli tego, choć z różnych względów. Profesor chciał zbadać zarówno dziwną florę dżungli, jak i powód owych niepokojących, nocnych hałasów; Jim i Anzac — sposób wydostania się z tej pułapki. Przed wyruszeniem rozpalili wielki ogień z smolnych szczap w nadziei, że Różyczka zobaczy sygnał i wyruszy na poszukiwanie ich. Dym w cichem jak zmora powietrzu wysunął się prostopadle w niebo.

Z strzelbami w pogotowiu zanurzyli się w dżunglę. Zbliska okazało się, że nie jest tak nie do przebycia, jak to zdawało im się na odległość. Kolosalne pniaki roślin i krzewów i ogromne łopuchy liści, pozostawiały zupełnie dostateczną ilość miejsca, by człowiek mógł się między niemi przecisnąć. Pozatem na ogromnej przestrzeni przy brzegu, roślinność dżungli była zupełnie położona i wbita w ziemię.

— Oto miejsce wczorajszej, maleńkiej bitki — zauważył Anzac — nie ulega wątpliwości, że zapaśnicy musieli się trochę tarzać.

Nie wiele oddalili się od brzegu, gdy profesor przypadł nagle do ziemi i wsunął głowę w jakąś potężną dziurę, wyżłobioną w miękkiej glinie. Jim i Anzac, przysunąwszy się do profesora, zdębieli. Nie ulegało wątpliwości, że dziura została wydeptana łapą straszliwych rozmiarów. Profesor coś rzęził podniecony.

— Szymonie Słupniku — niepokoił się Anzac — co za bydlę może mieć stopy wielkości ludzkich pleców?

Potem, nie czekając na odpowiedź, chwycił strzelbę w garść i zniknął w dżungli. Zapał myśliwego, co już nieraz miał do czynienia z grubszą zwierzyną, zaćmił mu umysł. Niepomny, że strzelba jego będzie zabawką wobec potwora o tak olbrzymich łapach, uważał, że musi stanąć z nim oko w oko.

Jim pozostał koło profesora, który, wydobywszy przyrządy miernicze, oddawał się z całkowitem zapamiętaniem dokładnym badaniom śladu.

— Wspaniałe — mruczał — cudowne; jesteśmy na krawędzi niezmiernie doniosłych odkryć naukowych.

Jakoż istotnie byli na krawędzi rewelacyjnych odkryć i jak narazie zbyt praktycznie absorbujących, by się dały zużytkować naukowo.

Uszu Jima doleciał zduszony okrzyk człowieka śmiertelnie przerażonego. Pewny, że Anzac jest w niebezpieczeństwie, skoczył w zarośla. Ubiegłszy kilkanaście kroków, ujrzał z wielką ulgą Anzaca żywego i całego. Pochylony niesamowicie, bez kapelusza, z strzelbą w ręku, wpatrywał się w coś wybałuszonemi oczyma i z zapartym oddechem. Spojrzawszy w kierunku jego wzroku, Jim zamarł. Parę kroków przed nimi wychylała się z poza krzaka kolosalna, płaska głowa, i kiwając się wahadłowo na długiej, pomarszczonej szyi, jakby obwąchiwała z oddala niespodziewanych i nigdy jeszcze niewidzianych intruzów. W pierwszej chwili Jim pomyślał, że to jakiś niesamowicie wielki wąż i serce zamarło mu w piersiach. Wnet jednak przekonał się, że szyja wyrasta z odpowiednio do niej wielkiego cielska, umieszczonego na krótkich łapach, których ślad niewątpliwie przed chwilą oglądał.

— Ccco to jest — bełkotał Anzac — przychodząc do siebie — to chyba nie jest naprawdę.

I nagle przyłożył strzelbę do ramienia i zmierzył w łeb potwora. Przestraszone nagłym ruchem, zwierzę cofnęło gwałtownie głowę i wyrzuciło z gardła przeszywający skrzekogwizd, tak, niewątpliwie ten sam, który słyszeli wczoraj w nocy. Anzac pocisnął cyngiel. Na ułamek sekundy, nim strzelba wypaliła, Jim podbił lufę. Strzał huknął ogromnie głośno w tej zamkniętej przestrzeni, a'e kula poszła w górę. Potwór z ogłuszającym krzykiem obrócił się na ogonie wielkości potężnego drzewa i w podskokach, od których drżała ziemia, zanurzył się w dżunglę.

— Czemuś podbił lufę — rzucił się wściekły Anzac.

ZNACZKI POCZTOWE.

Polski znaczek z przed 63 lat.

Jak to tam dokładnie było z wydaniem tego znaczka, nie wiem napewno, bo nie mam się skąd dowiedzieć. Polska literatura filatelistyczna jest bardzo szczupła. Łatwo się w każdym razie domyślić, że w Petersburgu musiał powiać w 1860 roku przychylny dla Polaków wiatr i oto postanowiono wydać znaczek specjalny dla zaboru rosyjskiego, dla „Królestwa Polskiego".

To prawda, że nie bardzo się on różni od znaczków rosyjskich i są nawet niektórzy filateliści, co chcą go poprostu uważać za znaczek rosyjski i już. Ale mnie się to niepodoba. Bo oto taki jest ten znaczek. Ma rosyjski herb, nadany w roku 1858 Królestwu Polskiemu, a e na tarczy dwugłowego orła, mieści się prawdziwy jednogłowy orzeł polski, bardzo maleńki, ale jest. Naokoło elipsy, otaczającej orła, jest rosyjski napis cyrylicą „10 kopiejek za łót", ale pod herbem dużemi literami, jest ten sam napis po polsku. Znaczek jest granatowy (w różnych odcieniach), a orzeł na polu różowem (też w różnych odcieniach).

Jednem słowem, ktośby powiedział, taki sobie grzeczny ukłon zaborców w stronę podbitego narodu, od którego z pewnością chce się coś zato wyłudzić.

Może być. Ale efekt wydania tego



znaczka, był niespodziewany i zapewne ani nieprzewidziany, ani też mile widziany przez wydawców. Mianowicie wszystkie katalogi znaczków pocztowych wprowadziły natychmiast rubrykę: Polska. Tłustym drukiem w katalogach niemieckich widniał tytuł: „Polen", w francuskich „Pologne", w angielskich „Poland", a pod tytułem reprodukcja i opis znaczka.

Filatelistów przed wojną były całe setki tysięcy, może nawet więcej, nic teraz i bardzo dobrze się stało, że dowiedzieli się o Polsce. Bo choć później skwapliwie znaczek wycofano, katalogi co roku notowały polski znaczek.

Wniosek prosty: Trzeba ten znaczek mieć w swoim zbiorze. Szkoda, że łajdak jest bardzo rzadki i skutkiem tego drogi. U pana J. Witkowskiego w Poznaniu (ul. Ratajczaka 15) można go dostać za 25 zł.

To jest bardzo dużo. Ale jest na to sposób. Trzeba zbierać wszystkie kursujące znaczki, pięknie wykąpać i składać każdego rodzaju po setce do osobnej koperty. Gdy się cała drużyna zabierze do tej roboty, uzbiera wielkie mnóstwo. A potem każdy większy sklep filatelistyczny kupi te znaczki lub wymieni je na rzadkie i trudne do zdobycia psim swędem. Nie trzeba się zrażać tem, że za 1000 znaczków dostanie się np. 50 groszy. Grosz do grosza, a będzie 25 zł i drużyna będzie się mogła pochwalić posiadaniem pierwszego polskiego znaczka.

Es. K.

— Wszystko jedno, uspokój się, szaleńcze. Przecież twoja kula dla tego bydlaka, to tyle, co żądło osy. Dopóki był równie przestraszony jak my, nie był groźny, ale gdyby się rozzłościł, byłby nas zgniótł jak pchły jednem machnięciem ogona.

Zaperzeni przyjaciele odskoczyli nagle od siebie, usłyszawszy za plecami szmer. Nie, to tylko profesor, który od początku przypatrywał się płonącemi oczyma całej ich rozprawie z potworem, syczał podnieconym głosem:

— Wiecie, co to było?

— Nie, skądże?

— Prawdziwy, żywy diplodocus, największych rozmiarów bestja z rodziny dinosaurów, o których przypuszcza się ogólnie, że wyginęły przed wiekami.

Ale nie mieli czasu na dalsze słuchanie zajmującego wykładu profesora, bo usłyszeli z oddali gardłowy poryk i natychmiast po nim przenikliwy krzyk diplodoka. Doszedł ich gwałtowny łomot i trzask łamanych gałęzi. Jakieś bestje wyraźnie zbliżały się ku nim.

Jim i Anzac, nieciekawi dalszych odkryć przedhistorycznych, porwali niemal gwałtem, opierającego się profesora i zawlekli do łódki. Ze wszystkich sił podążali na wysepkę.

Różyczka ratuje.

Tymczasem z dżungli wynurzyły się na brzeg jeziora dwa walczące potwory. Jak słusznie przypuszczał profesor, spokojny, roślinożerny diplodocus, został zaatakowany przez najdzikszego z pośród dinosaurów, mięsożernego ceratosaura. Zwierzę to miało grzbiet okryty pancerzem, podobnym do krokodylego, szczęki pełne straszliwych zębów, na nosie duży, ostry róg, przednie łapy, absurdalnie krótkie w stosunku do ogromnego ciała, zaopatrzone w mordercze pazury. Targał straszliwie, nieomal dwa razy większego od siebie, niezgrabnego diplodoka, który panicznie uciekał do jeziora. Dostawszy się tu, stał się odrazu panem sytuacji. Swoją potworną szyją zanurzał bezustannie ceratosaura pod wodę i nie dawał mu dostąpić do siebie. Odwróciwszy się nagle, wymierzył drapierzcowi straszliwy cios potężnym ogonem. Ceratosaurus znikł na chwilę pod wodą, a wynurzywszy się, uciekł na brzeg.

Trzej ludzie z przerażeniem przypatrywali się z wyspy straszliwej walce gigantów. Ale nietylko oni. Z jeziora wynurzyły się całe tłumy zwierząt, czekając bacznie na wynik walki. Widocznie ceratosaurus był tu czemś w rodzaju lwa i te wszystkie bydlaki, jak hjeny żywiły się resztkami jego ofiar. Tym razem uczta się nie udała. Natomiast wyraźnie zainteresowano się stworzeniami na wysepce. Nie było wątpliwości, że wszystkie kierują się ku nim. Powierzchnia wody zaroiła się długiemi, lśniącemi w słońcu grzbietami, sprawiającemi wrażenie bajecznych węży morskich.

— Szymonie Słupniku — ryknął Anzac — ogniem w nich.

Jim cisnął w najbliższego potwora dużą głownię. Poskutkowało. Potwór z fukiem znikł pod wodą. Z przerażeniem spostrzegli, że profesor robi swoją małą kamerą zdjęcia fotograficzne i Anzac, wytrąciwszy mu aparat z ręki, zmusił go do znoszenia suchych gałęzi. Jasne jednak było, że walka ich długo trwać nie będzie.

Nagle Jim znieruchomiał. Poprzez krzyk zwierząt i huk zbałwanionego jeziora, usłyszał dźwięk, równy, monotonny warkot, który napełnił mu duszę radosną nadzieją. Nie ulegało wątpliwości, że był to warkot motoru.

— Różyczka jedzie! krzyknął.

Istotnie nad skałami pojawił się hydroplan i po chwili opadł nad jezioro.

— Dlaczego nie woduje? wściekał się Anzac.

— Na czem? Na potworach?

Jezioro roiło się od zwierząt i przestraszony pilot krążył wkoło, nie wiedząc, co począć. Ujrzawszy, że Anzacciska głownią w podpływające do brzegu zwierzę, a ono ucieka, wpadł Różyczka na genjalny pomysł. Lunął światłem ze wszystkich reflektorów, jakie miał na statku. Mimo, iż światło słoneczne silnie obniżyło ich siłę, wrażenie było piorunujące. Wszystkie potwory odrazu znikły pod wodą, i z szumem uciekały od ognistego ptaka. Różyczka wywodował i jeszcze nie zdołał zatrzymać motoru, gdy łódź podpływała już ku niemu. Profesor krzyczał, że aparat pozostał na wyspie, że zaprzepaszczają największą zdobycz naukową ostatnich czasów, ale chłopcy już wpychali go w gondolę, zabierając z łódki, co się dało, pewni, że zwierzęta niebawem wyłonią się znów na powierzchnię, a tym razem nic ich nie ocali. Różyczka puścił motor, a w chwili, gdy wznosili się nad wodę, potworna szczęka jakiegoś dinozaura wynurzyła się tuż pod pływakami, starając się chwycić uciekający obiad. Ruszyli pełnym gazem.

— Takie cudy, takie niesłychane rewelacje naukowe — jęczał profesor Li — prawdziwe, żywe przedhistoryczne bestje.

— Trochę zanadto prawdziwe i zanadto żywe — cierpko zauważył Anzac — przynajmniej jak na moje gusta.

Koniec.

ZOFJA SZATKOWSKA
(Kossak-Szczucka).

S. O. S.

23)

— A gdzież ten drugi? — zapytał wysoki drab.

— Niepewny. Uśpiłem go.

— To i lepiej.

Odziewali się pośpiesznie.

* * *

Na odległych zegarach miejskich biła zwolna trzecia, gdy ukazali się znowu. Ściągali do piwniczki długie, płaskie i widocznie ciężkie paczki. Drab z okaleczoną twarzą odszedł bez słowa, wsiąkł w ciemność. Kobuz założył starannie otwór i czekał. Nie czekał długo. Bezświetlnie, warcząc z cicha motorem, nadjechało auto. Stanęło.

Szofer, — ten sam drab, co poprzednio, wysiadł i wraz z Kobuzem jęli ładować paczki do środka. Skończywszy, Kobuz chwycił ukrytą w kącie piwniczki miotłę, zamiótł ślady, poczem silną ogrodową szprycą spryskał niewiadomym płynem wejście do piwnicy, zamiecioną świeżo ziemię i miejsce, gdzie stało auto.

Chyba nie iperyt? — zagadnął szofer.

— Nie, — roześmiał się Kobuz, — ale wystarczające, by cała sfora psów policyjnych nic nie odnalazła.

Ściągnął brezentowe ubranie, cisnął do wnętrza auta wraz z miotłą, szprycą i narzędziami. Sam usiadł koło szofera. Cicho, kociemi chyba oczami widząc w mroku, cofali się tylnym biegiem aż do asfaltowej ulicy, gdzie błysnąwszy nagle oczami latarni, ruszyli pędem za miasto.

* * *

Ilski otworzył wprawdzie oczy, lecz przytomnym jeszcze nie był. W głowie czuł mąt niemożliwy do opanowania. Nie zdolny uprzytomnić sobie, jaki jest dzień, jaka pora, kiedy zasnął (czy nie miał czegoś strasznie ważnego do wykonania, — ale co?) wpatrzył się tępo w trzaskający w piecu ogień. Przez okno zaglądało blade jesienne rano. Kobuz klęczał przed piecem, dokładając do ognia szczypy, odłupywane nożem z dwóch wielkich kawałów dykty. Oba kawałki wyrznięte były w profilowy kontur doskonale pochwyconych figur ludzkich. Kobuz zawzięcie niszczył te kontury, upodabniając je coraz bardziej do zwykłych prostokątów.

— Obudziłeś się, — zauważył, — wiesz, był tu doktor, kazał cię jak najprędzej odwieźć do domu zdrowia. Grozi ci poważna choroba, muszę cię ratować... Telefonowałem już po taksówkę...

— Gdzie mnie chcesz wieźć!? — zakrzyknął Ilski z przerażeniem.

— Czegóż się boisz?! Przecież mówię, że do Domu Zdrowia, gdzie będziesz miał najczulszą opiekę i wrócisz prędko do siebie...

— Ja nie chcę!

— Chcesz czy nie chcesz, moim obowiązkiem jest ratować cię... O, właśnie już nadjeżdżają...

Wyjrzał przez okno, śledząc pilnie jadącą przez plac taksówkę. Z dziwną starannością szofer trzymał się śladów, pozostawionych przez auto przejeżdżające tu nocą, tak że ślad poprzedni został zupełnie starty, zakryty świeżym. Stanęło przed domem. Dwóch ludzi w białych fartuchach sanitarjuszy wysiadło i szli na górę.

— Sam widzisz, że niema się co opierać, — mówił Kobuz do Ilskiego, — ubieraj się.

— Zaraz, tylko sobie przypomnę, — powtarzał bezmyślnie Roman. Otępiały, pół przytomny, dał się ubrać i wyprowadzić na dół. Nie wiedział, co się z nim dzieje, cały pochłonięty usiłowaniem powiązania niejasnych wspomnień wczorajszego dnia. Miał coś dokonać, coś powiedzieć, — ale co?... ale co?... Darmo szukać w mózgu chorym, rozstrojonym i do tego odurzonym narkotykiem. Szklanemi, nieprzytomnemi oczami spojrzał na księdza Michalaka, panią Wyrobkową i Kotę, stojących przy drzwiach, patrzących na niego ze współczuciem i przerażeniem.

— Niestety... biedak — mówił do nich ze smutkiem Kobuz, kreśląc sobie wymownie kółko na czole.

Ilski zrozumiał ten gest.

— Tak, zwarjowałem, — wyznał pokornie, — ale nie pojadę, aż sobie przypomnę... Muszę sobie przypomnieć! — krzyknął przeraźliwie, szamocąc się z sanitarjuszami, którzy go wpychali do auta. Motor zawarczał. Ruszyli. Zrezygnowany opadł na poduszki, nie mogąc uwolnić chorego mózgu od zmory — świadomości, że coś najważniejszego przeoczył, że mógł się uratować... (ale jak i przed czem?...), że mógł wyzwolić i ocalić... (ale kogo?). Że była możliwość ratunku, lecz on sam przepuścił ją własnowolnie, a raczej bezwolnie...

* * *

Wracający pieszo do domu Kobuz, przystanął chwilę przy gromadzie ludzi, zebranych wokół ograbionego Banku. Z doskonale udanem zdziwieniem i obojętnem zainteresowaniem wysłuchał sensacyjnej nowiny, poczem wrócił do siebie, gdzie zabrał się gorliwie do sprzątania pokoju. Wymiatając pył z pod sprzętów, oglądał uważnie najmniejszy, wydobyty stamtąd papierek i palił go w piecyku, starannie rozkruszając popiół. Był spokojny i wesół, a przedewszystkiem zadowolony z siebie. Jakże gładko poszło całe przedsięwzięcie! Nic nie chybiło, wszystko udało się tak, jak to obmyślał i przewidział. Nic nie mogło mu grozić, ślady zatarte były na tyle roztropnie, że najbystrzejszy detektyw nie trafi na właściwy trop. Głupi Romek, mazgaj, — napracował się tyle, a teraz, zamiast korzystać z owoców zwycięstwa, załamał się i skończył. — Ja się nie załamię, — pomyślał z cynicznym uśmiechem. Potrafię spokojnie obserwować jak policja będzie stawała na głowie, by coś znaleźć, a najlepsza niespodzianka na sam koniec... Ach, cóż to będzie za kawał!

Otworzył okno, patrząc ku Bankowi. Czerniały ciągle przed nim zbite grupy ludzi. Dopieroż mieli żniwo reporterzy, uwijający się wśród nich! Wszystkie pisma codzienne biły nadzwyczajne dodatki w potrójnym nakładzie, zamieszczając w nich najfantastyczniejsze wieści, które po paru godzinach odwoływano. Kobuza ciągnęła nieprzeparta ochota pójść w tłum gawiedzi, przysłuchiwać się, co mówią o wypadku, zobaczyć, jeśli to możliwe, podkop. Oparł się jednak tej pokusie, wiedząc z przeprowadzonych przez siebie uprzednio studjów, że chęć ta jest właściwa każdemu przestępcy. Siła psychiczna niewytłómaczona zmusza mordercę do powrotu, do zobaczenia swej ofiary, a włamywacza do obejrzenia śladów włamania. Wiedzą dobrze o tem detektywi, ze specjalną uwagą śledząc tych, co zbliżają się do miejsca wypadku.

— Wobec tego mnie tam nie zobaczą, — zaśmiał się sam do siebie Kobuz. Był pewien swojej zimnej krwi i nerwów. Podobnie jak nie da się pociągnąć głupiej chęci oglądnięcia swego dzieła za dnia, tak samo potrafi odczekać tyle czasu, ile trzeba, nim zacznie likwidować swą zdobycz. Będąc bogatym jak miljarder amerykański, potrafi żyć jeszcze z pół roku życiem ubogiego studenta, aż czujność władz osłabnie, sprawa poniekąd pójdzie w zapomnienie...

— Grunt wszystko obmyśleć i mieć głowę na karku... — powtórzył do siebie z zadowoleniem.

Zamknął okno, odwrócił się, gwiżdżąc, włożył rękę do kieszeni i... pobladł nagle tak, że pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Stał przez chwilę jak zmartwiały, patrząc osłupiałym wzrokiem na drobny przedmiot, wyjęty z kieszeni, gdzie go zostawił w zapomnieniu.

— No, no... — mruczał sam do siebie, rozpalając ogień w piecu. Rzucił zwinięty przedmiot do ognia, nie spuszczając zeń oczu, dopóki nie spłonął doszczętnie. Poprzednia pewność i wesołość opuściły go nagle. Tak pięknie, zdawało mu się, przewidział najdrobniejszy szczegół, a oto zapomniał zniszczyć to, co powinno było być przedewszystkiem zniszczone! Dowód ważny ponad wszystkie inne, nie zostawiający żadnych wątpliwości. Gdyby przed chwilą, gdy gwiżdżąc, wyglądał przez okno, przyszła policja i zrewidowała go?

Zimna krew, z której tak był dumny, zdała się go opuszczać. Straciwszy zaufanie do samego siebie po odkrytem zapomnieniu, zaczynał obawiać się innych przeoczeń. Przedmiotem, którego odkrycie tak go przeraziło, była para rękawiczek, ale czy wyciągnął z kieszeni i spalił obie? Czy nie mógł jednej poprostu zgubić na ulicy, wyciągając z kieszeni chustkę do nosa? Jakimże był osłem, narwańcem, nie sprawdziwszy, zanim wrzucił je (czy ją) do ognia? Teraz zapóźno. Nie dowie się nigdy. Spokój i bezpieczeństwo pierzchły.

— Czy spaliłem obie rękawiczki, czy jedną?... — powtarzał sobie tępo. Nakoniec potrząsnął głową.

— Jeżeli nie opanuję się zaraz, skończę jak Romek.. dość tego... Jeśli nawet zgubiłem, jest to wprawdzie poszlaka, która uratuje starego, ale nie zdradza mnie... Spokoju... Spokoju...

Zapalił papierosa, chodząc po izdebce. Powoli udało mu się opanować rozdrażnienie. Ze zwykłym, drwiąco obojętnym wyrazem twarzy zasiadł przed rozwartą książką, rzekomo zagłębiony w pracy, gotowy na przyjęcie mających nadejść wypadków.

(C. d. n.)

ARGONAUCI POKOJU.

Leży przedemną wspaniale wydana książka. Taka, jak to umieją wydawać Anglicy: na czerpanym papierze, wielkie łatwo czytelne litery, sztywna okładka, dużo fotografij: **„The Cruise of the Calgaric“.**

Na samym wstępie znajduje się jakby motto wydawnictwa z podpisami Naczelnego Skauta i Naczelnej Skautki:

„Podróż braterska“.

„...Leży przed Wami opis podróży, godnej opisania dlatego, że jest to pierwwsza podróż naszych „Argonautów Pokoju“, na statku, którego załogę tworzyli kierownicy ruchu skautów i skautek. Zawiózł nas ten okręt do cudzych krajów i tam wymienił swój ładunek Miłości.

W zamian za ten ładunek jego Wesoła Załoga otrzymała dużo szczęścia, płynącego z poczucia, że czas spędzony na nim poświęcono służbie naszej sprawy, wzbudził w niej pragnienie, by taka okazja nie była ostatnią. Ten Dziennik Okrętowy, dla tych co płynęli na nim wznowi miłe wspomnienia. Zaś naszym uprzejmym gospodarzom zagranicznym wyrazi naszą serdeczną wdzięczność...“

Książkę napisała wielka nasza przyjaciółka komisarka Międzynarodowa Anglii, Rosa Kerr. Na samym początku grubej książki rozdział: Jak zrodziła się myśl podróży:

„...Pewnego sierpniowego dnia 1932 r. Naczelna Skautka Lady Baden-Powell jechała w Polsce w autobusie w towarzystwie kilku innych kierowniczek z różnych krajów, wybierających się na VII Międzynarodową Konferencję Skautek. Były one w drodze z Katowic — bliskiego miasta pogranicznego, w którym doznały wspaniałego przyjęcia — do Bucza, pięknej siedziby, będącej własnością polskiego harcerstwa, gdzie miała się odbyć konferencja. Lady Baden-Powell była zachwycona nielicznemi, jak dotąd i tak późnemi wiadomościami, które zdobyła o polskich instruktorkach (jej podziw rósł z dnia na dzień podczas następnych dwóch tygodni) i nagle zwróciła się do swojej sąsiadki w autobusie Miss Mander, Komisarki okręgu Wolver Hampton, z temi słowami:

— Jakżeż bardzo chciałabym, ażeby nasze angielskie instruktorki mogły się zetknąć z tak wartościowemi instruktorkami innych krajów. Gdybym tylko mogła, tobym zabrała na statek odarazu cały ładunek skautek, powiozła bym je za morze, żeby się zobaczyły i zaprzyjaźniły!“

— „Dlaczegożby nie?“ — powiedziała Mis Mander, osoba nie mówiąca wiele, ale posiadająca dużą energię. Tak powstał plan, który był później wcielony w życie z takiem wspaniałem powodzeniem“.

Potem idą opisy, jak organizowano całą podróż. Wreszcie 12 sierpnia „Calgaric“ wyruszył z portu angielskiego w South Hampton. Po krótkim pobycie w Rotterdamie i Hadze, przez Morze Północne i kanał Kiloński 16 sierpnia przed 8-mą rano okręt dobija do Gdyni.

„Niezliczona liczba skautów i skautek zebranych na wybrzeżu oczekuje naszego przybycia. Zeszli się tu ze wszystkich stron Polski, ażeby powitać skautów naczelnych“. Dalej opisuje autorka powitanie przez Naczelne Władze nasze na statku. Z wyraźnem podkreśleniem zaznacza, że wiele osób przybyło wprost z Gödöllö, m. i. skautki, które płynęły wodą do Budapesztu na Jamboree, a stamtąd wprost z pociągu stanęły na pokładach jachtów, by wyjechać naprzeciw nadpływających gości. Podoba się bardzo autorce polski mundur harcerek, pierwszorzędne przyjęcie, sprawna organizacja całości. Z opisu widać, że dobrze orjentuje się w historji powstania i rozwoju Gdyni, jak i rozumie jej dzisiejsze znaczenie. Pisze o tem wszystkiem bez najmniejszego błędu i kończy, że „Polska jest niezmiernie dumna ze swego portu i nie szczędzi poświęceń, by go jaknajbardziej rozwinąć“.

Opisując przyjęcia, wylicza polskie potrawy, jakie podawano, m. i. wymienia zupełnie poprawnie pisownią angielską, tak trudny do wymówienia dla cudzoziemca barszcz.

„...Jak wszystkie, polskie obozy, tak i ten był pięknie urządzony, strojny, nie szczędzono trudu przy stawianiu ślicznej bramy wejściowej z łukiem z żerdzi sosnowych. W Polsce mają namioty najrozmaitszego rodzaju. Najwyżej 10 osób śpi w jednym. W każdym namiocie jest szereg łóżek, wykonanych przez skautki. Są one zrobione z sosnowych prętów z materacami, wykonanemi z cienkich gałązek, albo z przeplatanych postronków. Na łóżkach są prześcieradła i wyszywane nakrycia, a prócz tego w każdym namiocie są krzesła, stoły oraz rozmaite urządzenia celem wieszania ubrań. — wszystko zrobione na miejscu z drzewa. Przed każdym namiotem jest mały, konwencjonalny ogródek z klombami z szyszek sosnowych, tłuczonej cegły, kamieni, paproci, mchu i t. d. Wielka pomysłowość uwidacznia się w rysunkach, w których bardzo często widać herb prowincji, zrobiony przez skautki, pochodzące z danych stron. Herb Warszawy miał syrenę, Pomorze — zamek i t. d. Naczelni skauci jedli lunch przy cudownym, okrągłym stole, wyciętym w piasku i ozdobionym rysunkami z szyszek sosnowych, gałązek bukowych i t. d. Przed każdą osobą leżała płaska, okrągła deseczka, na którą stawiano naczynia...“

Z obozu powrócono na statek, który miał wkrótce odpłynąć w dalszą podróż.

„... Długo będziemy pamiętać moment naszego odjazdu z Gdyni — pisze Mrs. Keer. — Na wybrzeżu szeregi skautów i skautek, m. in. oddział starszych harcerek rytmicznie powiewających czerwonemi chusteczkami. Polacy krzyczeli „good by“, a my „Do widzenia“.

„... Bardzo nam się nie chciało opuszczać Polski i tak serdecznych przyjaciół..“

Rozdział o Gdyni zdobią liczne, bardzo dobre zdjęcia z wybrzeża i obiadu, a wreszcie z samego obozu.

Kolejno idą w książce rozdziały, opisujące pobyt w innych państwach, a więc na Litwie, Łotwie, w Estonji, Szwecji, Norwegji. Książka zamyka się przemówieniem, jakie wygłosił Baden-Powell do uczestników podróży po jej zakończeniu.

Jak wspomniałem, książka wydana jest wspaniale. Śmiało można powiedzieć, że w niejednym domu będzie leżała na pierwszorz. przyjęcie, sprawna organizacoprawda przedewszystkiem dla tych 700 osób, które były uczestnikami wycieczki, ale patrząc na ich spis widać, że większość z nich, to osoby, zajmujące poważne stanowiska społeczne w Anglji wzgl. w jej posiadłościach.

I tu chciałem wskazać na znaczenie naszej harcerskiej pracy dla Państwa. Nie za naszę pieniądze, nie na prośbę, nie na to, by bezużytecznie zajmowała półki magazynów, została napisana ta książka. Wystarczy wziąć ją do ręki, by odrazu rzuciło się to w oczy.

Opis przyjęcia na polskiem wybrzeżu i Gdyni świadczy o ogromnem wrażeniu, jakie z niej wywiozła ta wycieczka siedmiuset czołowych osobistości świata angielskich wychowawców. Będą o nas opowiadać swojej młodzieży, szerząc nie wśród jednostek, a wśród mas należyte pojęcie o Polsce. Ten sukces — który jest jednym z wielu, odniesionych przez nas na zagranicznym terenie — jest wynikiem naszej własnej, samodzielnej pracy. A, że nie towarzyszył mu wielki rozgłos — nie szkodzi. Bowiem jedynym sterem naszej pracy jest świadomość ważności służby, którą dla Polski pełnimy.

Hallo! Hallo!

Najmilszą chwilą w gromadzie jest śpiew. W marszu, czy na zbiórce w świetlicy śpiew nas łączy i krzepi. Ale nie jakieś: „Gdy Sobieski był sułtanem...“, stare i oklepane piosenki o niemądrych słowach, tylko prawdziwie harcerskie pieśni, które porywają i budzą w sercu zapał!

Wiedząc, jak bardzo lubicie śpiew, postaraliśmy się o kilka nowych piosenek i do gwiazdkowego numeru dołączamy

BEZPŁATNĄ WKŁADKĘ NUTOWĄ.

Niech z naszemi piosenkami przywędruje do was radość życia i chęć czynu!

* * *

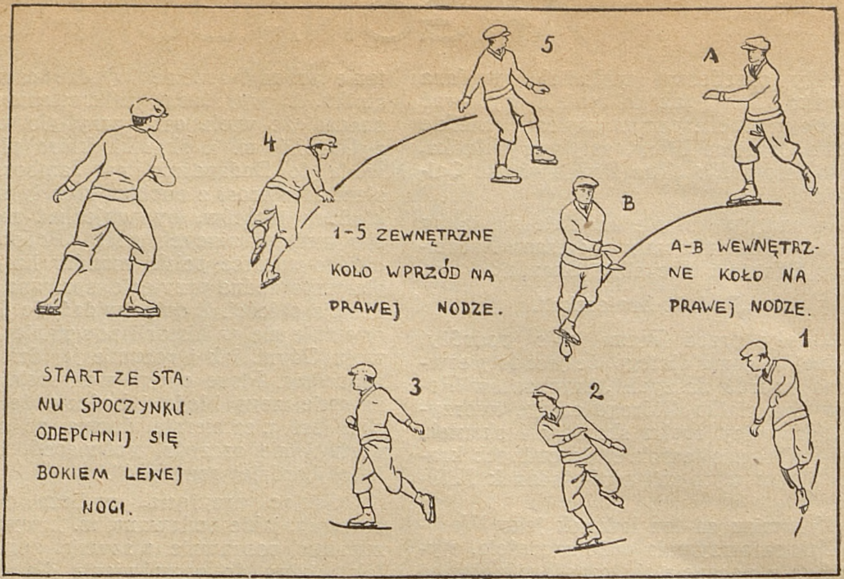
Stały rozwój „Na Tropie“ pozwala podejmować nam coraz nowe wysiłki, aby umożliwić jak najliczniejszej rzeszy harcerek i harcerzy korzystanie z „Na Tropie“. Postanowiliśmy w tym celu **dotrzeć do wszystkich zastępowych,** pragnąc, aby

KAŻDY ZASTĘP POSIADAŁ SWÓJ EGZEMPLARZY „NA TROPIE“.

Ale bynajmniej nie mamy zamiaru ograniczyć się na samych zastępowych. **Każdy, kto przyśle swój adres, otrzyma okazowy numer „Na Tropie“.** Przysyłajcie więc adresy, całe stosy adresów! Jeśli sami nie możecie zaprenumerować pisma, przyślijcie nam adres swego Opiekuna, Prezesa Koła Przyjaciół, wypróbowanego przyjaciela, który może dla Was pismo zaprenumerować. Postaramy się zachęcić go do tego!

Sztuka łyżwiarska.

Po kilkakrotnej bytności na ślizgawce każdy chłopiec opanuje sztukę jazdy na łyżwach natyle, aby czuć się pewnym na lodzie. Nie wystarcza jednak uganiać po lodzie bez wywracania się; trzeba także nauczyć się jeździć pięknie, z figurami, z zachowaniem całej estetyki ruchu wytrawnego łyżwiarza.



Podstawą dla wszelkich figur jest poprawne wykonywanie kół, zupełnie regularnie nakreślonych łyżwami na lodzie. Dużo przytem znaczy postawą łyżwiarza. Ciało lekko pochylone wprzód, należy utrzymywać w równowadze przy pomocy łagodnych ruchów w biodrach. Łopatki należy cofnąć, głowę wyprostować. Cała postać jadącego jest w równej linji pochylona nieco ku środkowi nakreślonego koła. Obie nogi — zarówno ta, na której opiera się ciężar ciała, jak i druga, regulująca równowagę — muszą być lekko w kolanach ugięte.

Każdą figurę zaczyna się startem z postawy spoczynku (patrz ryc.): opierając się na nodze lewej, wysuwa się prawą nogę ruchem ślizgowym w kierunku prostopadłym do położenia lewej łyżwy.

Koło zewnętrzne wprzód polega na tem, że zatacza się je **na prawej nodze w prawą stronę** (ryc. 1—5). Lewą nogę trzyma się za sobą, kierując ją ku wewnętrznej stronie koła (ryc. 1, 2, 3), a dopiero, gdy kończysz koło, przerzuca się ją kolisto ku przodowi na zewnętrzną stronę koła (ryc. 4 i 5). Wtedy, oparłszy się na nodze prawej, przenosisz ciężar ciała na lewą nogę, którą ruchem ślizgowym wysuwasz w kierunku prostopadłym do położenia prawej łyżwy i zataczasz w identyczny sposób koło w lewą stronę na lewej nodze. Staraj się przytem zataczać **koła zupełne** i ćwicz je tak długo, aż zupełnie poprawnie będziesz zataczać takie ósemki.

Wewnętrzne koło wprzód rozpoczyna się z tej samej pozycji, co poprzednio, tylko, że **koło na prawej nodze zatacza się w lewo.** Lewa noga znajduje się przytem ztyłu wpoprzek linji ruchu, lub na jednej z nią płaszczyźnie (ryc. A). Przy końcu koła przenieś powoli nogę balansującą do wewnętrznej strony koła przed siebie (ryc. B).

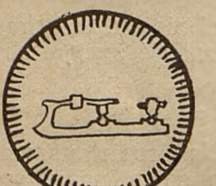
Teraz kolej na opanowanie kół „wtył". Przy starcie do **zewnętrznej ósemki „wtył"** stań sztywno na lewej nodze, prawą trzymając przed sobą. Przerzuć potem prawą nogę do tyłu i suń nią wtył, odpychając się lewą łyżwą. Zatocz koło na prawą stronę, trzymając lewą, balansującą nogę przed sobą, z palcami skierowanemi w dół i ku wewnątrz zataczanego koła. Zatoczywszy blisko jedną trzecią koła, przenieś powoli nogę lewą wtył i nazewnątrz koła. Przy końcu koła wyprostuj zwolna nogę ślizgającą się i rozpocznij koło na lewej nodze w lewą stronę z prawą nogą przed sobą, celem utrzymania równowagi ciała. Zakończenie tego koła powinno wypaść w tem samem miejscu, gdzie rozpocząłeś swoją „ósemkę".

Najtrudniejszą jest **wewnętrzna** ósemka wtył. Stań na lewej nodze z prawą wyprostowaną i wysuniętą przed siebie. Mając oba kolana nieco ugięte, przerzuć prawą nogę wtył i suń na niej, odpychając się lewą łyżwą i zataczając koło wlewo. Lewą nogę trzymasz przed sobą z palcami, skierowanemi wdół i nazewnątrz koła. Przy samym końcu koła przysuń ją powoli do nogi, ślizgającej się i przenieś ją jak najdalej wtył. Wyprostuj skolei nogę, ślizgającą się, celem umożliwienia jej mocnego odepchnięcia się z przeniesieniem ciężaru na wysuniętą do tyłu nogę lewą, na której zatoczysz teraz koło w prawą stronę, kończąc w ten sposób ósemkę.

Łyżwiarze znają coś około 8 tysięcy figur, niema więc obawy, byś się prędko znudził tym sportem, który — jak żaden inny — wyrabia zręczność i zgrabność. Łyżwiarz nie zna wprost granic dla liczby figur i rodzajów stylu. Wyżej wymienione uwagi o jeździe wprowadzą Was w pełen uroku świat prawdziwej sztuki łyżwiarskiej, która dostarczyć Wam może wspaniałej rozrywki i głębokiego zadowolenia.

(Z ang. J. K.)

Sprawność łyżwiarki-łyżwiarza.



1. Dobrze i ładnie jeździ na łyżwach wprost, wprzód, wtył i łukami, przebywa w jeździe wprost dwa km. w ciągu 8 minut.
2. Wykonywa trzy dowolne figury ze sztucznej jazdy (pętlice, nawias, amerykany, tańce itp.).
3. Zna zasady higjeny łyżwiarstwa.
4. Umie nieść pomoc przy upadku, stłuczeniu, odmrożeniu, umie się zachować w wypadku załamania się lodu.
5. Utrzymuje łyżwy w dobrym stanie.

Gry samarytańskie w zastępie.

I.

Zastępowy wręcza każdemu chłopcu jakieś lekarstwo we flaszeczce, lub w torebce (np. jodyna, krople walerjanowe, nadmanganian potasu itp.). Chłopcy w ciągu trzech minut mają rozpoznać lekarstwo i przypomnieć sobie w jakim wypadku mają je zastosować. Potem każdy mówi, co dostał i do czego dane lekarstwo służy, a pozostali chłopcy korygują go.

II.

Zastępowy przygotowuje tyle kartek, ilu jest obecnych na zbiórce chłopców. Na każdej kartce wypisany jest jeden wypadek: np. odmrożenie, omdlenie, udar itp. Chłopcy losują kartki i otrzymują 3 minuty czasu na zastanowienie się. Potem każdy z nich wybiera z apteczki środki, jakie mu przy danym wypadku są potrzebne i opowiada, względnie demonstruje, w jaki sposób będzie ratował.

III.

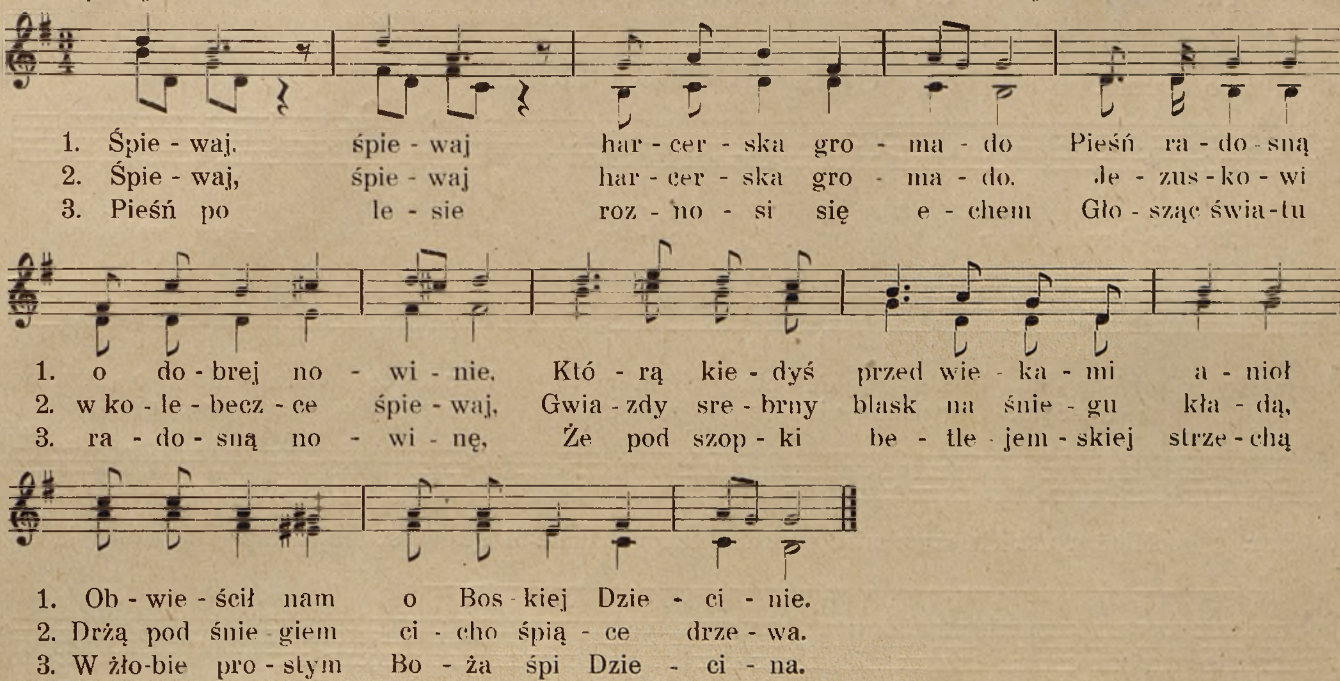
Zastęp dzieli się na dwie połowy: ratowników i chorych. Do każdego ratownika zgłasza się jeden chory i opowiada, co mu się przytrafiło podając wszystkie objawy (oparzyłem się tłuszczem skóra jest zaczerwieniona i pokryta licznemi bąblami itp.). Ratownik najdokładniej stosuje całą pomoc (z wyjątkiem zmuszenia zażycia lekarstw, które jednak do użycia przygotowuje). Zastępowy sprawdza, czy dobre było rozpoznanie i właściwy sposób ratowania. Uważać trzeba, by chłopcy-chorzy dokładnie i poprawnie wymieniali objawy swojej dolegliwości. Dają w ten sposób również dowód, czy umieliby dany wypadek rozpoznać.

Zkolei ratownicy zmieniają się w chorych i naodwrót.

Bezpłatny dodatek świąteczny „Na Tropie".

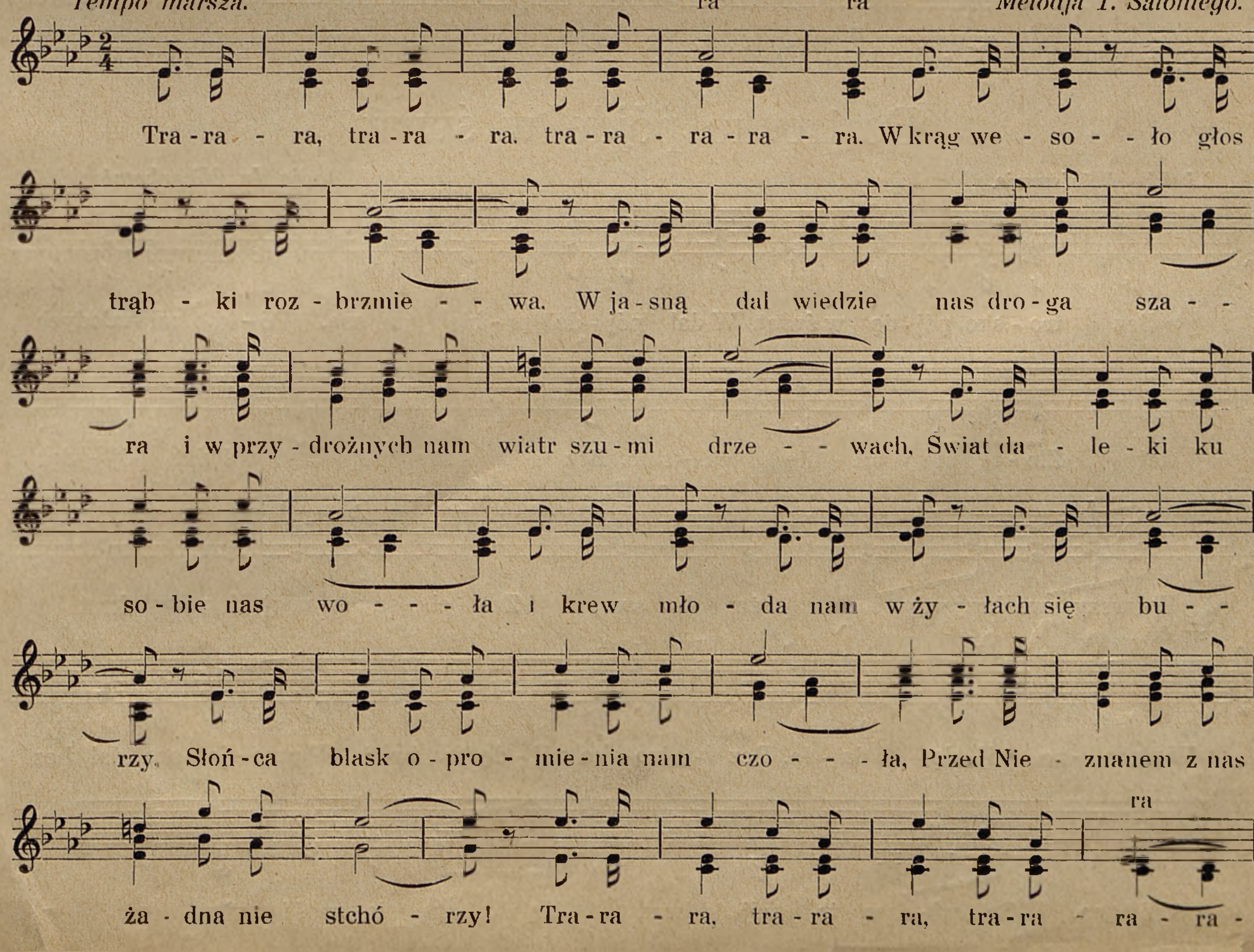
Kolenda harcerska w lesie.

Spokojnie i umiarkowanie. Melodja *Ir. Nieszkowieckiej.*



Głos trąbki.

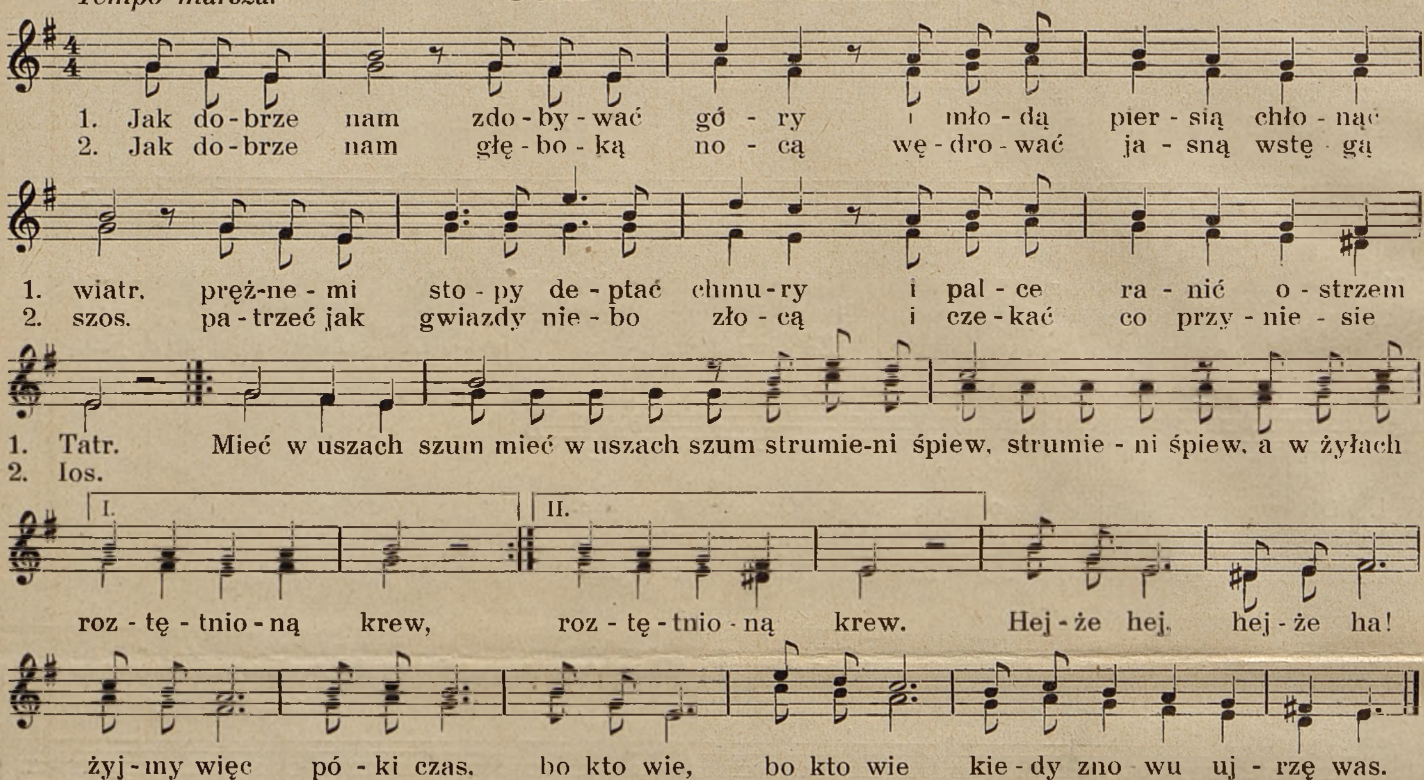
Tempo marsza. *Melodja T. Saloniego.*





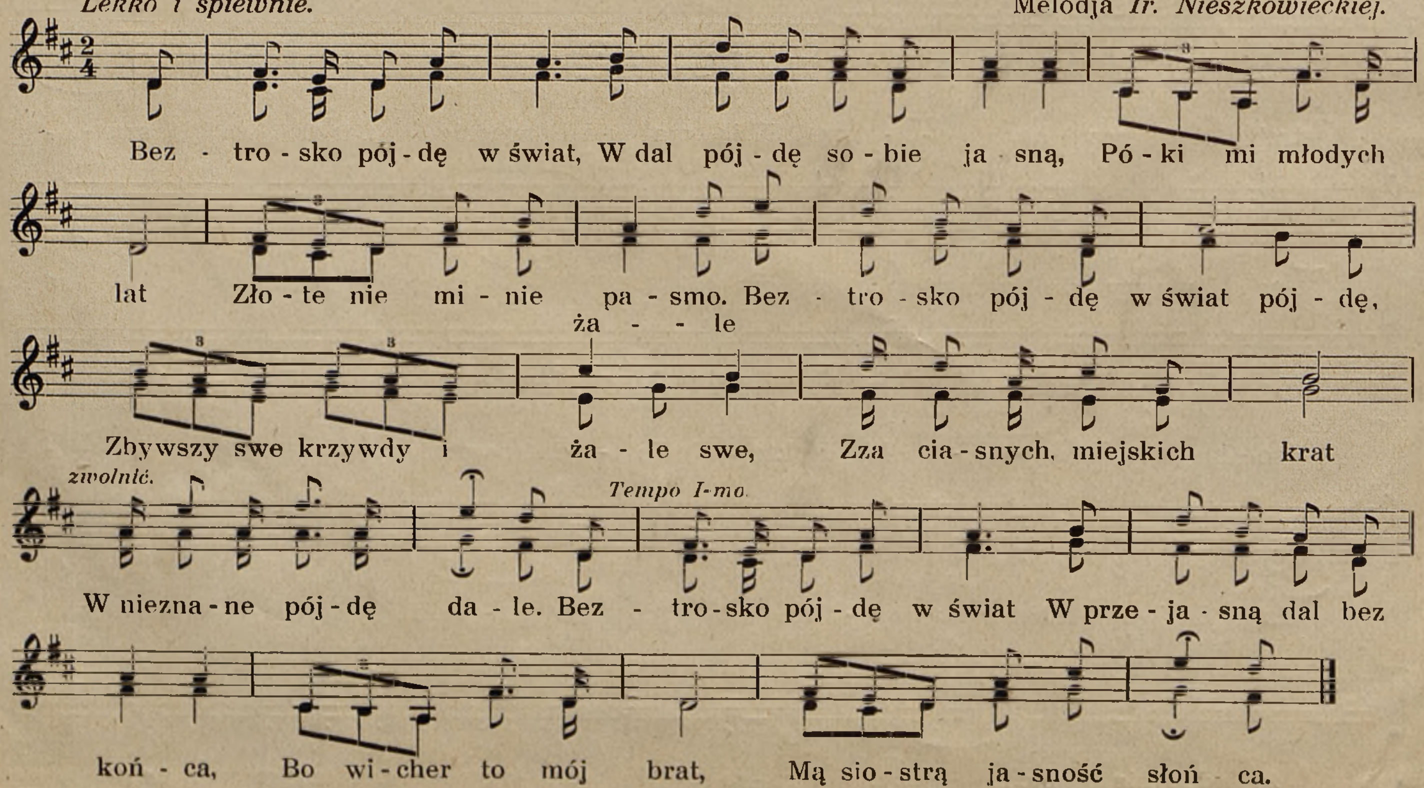
Jak dobrze nam.

Tempo marsza.



Beztrosko pójdę w świat.

Lekko i śpiewnie. Melodja *Ir. Nieszkowieckiej.*



JEŚLI NAS NIE STAĆ NA TRENERA...

(Uwagi dla początkujących narciarzy.)

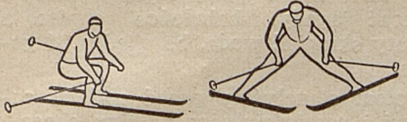




Dochodzimy do góry. Przy mniej stromym stoku podchodzimy rozkrokiem (drugi skolei rysunek od lewej). Nartę lewa. z dziobem odchylonym w lewo, unosimy i stawiamy na wysokości więźby narty prawej. Nartę stawianą opieramy mocno na wewnętrznej krawędzi (nartę lewą na prawej krawędzi i naodwrót). Opierając ciężar ciała na lewej narcie i na prawym kijku, zatkniętym na poziomie prawej więźby, przenosimy skolei prawą nartę i lewy kijek.

Na krótkim, stromym stoku zastosujemy schodkowanie (rys. prawy). Stajemy wpoprzek do zbocza, opieramy się na lewej narcie, dobrze prawym kantem wbitej w śnieg, oraz na lewym kijku i wznosimy prawy kijek i prawą nartę ku górze. Prawą krawędzią narty silnie kantujemy, kijek wbijamy przy więźbie. Przenosimy teraz ciężar ciała na prawy kijek i nartę i dociągamy do niej lewą nartę, podnosząc równocześnie ku górze lewy kijek.

Najniższe dwa rysuneczki przedstawiają pozycje zjazdowe. Na lewo widzimy normalny zjazd bez hamowania. Im bardziej stromy śnieg, tem silniej trzeba przykucnąć. Przy zjeździe trzeba nauczyć się cały ciężar ciała trzymać na jednej tylko narcie. Druga, lekko wprzód wysunięta, choć również nie odrywa się od śniegu, nie jest obciążona. Rysunek prawy pokazuje zjazd z oporem. Pięty silnie rozstawione dzioby przy sobie, cały ciężar na wewnętrznych krawędziach nart. **T.**



Dwa rysunki górne przedstawiają krok zwykły po równinie. Krok ten musi być posuwisty i płynny, powierzchnie nart nie odrywają się zupełnie od śniegu, tylko suną po nim. Robimy duży krok lewą nogą, której kolano potem silnie zginamy, przerzucając na tę nogę ciężar ciała. Prawa pięta odrywa się od narty, ale narta leży równo na śniegu. Prawa ręka wyrzuca przytem silnie kijek wprzód i opiera się na nim. Skolei, odpychając się na kijku, posuwamy prawą nogę wprzód, wyrzucamy lewą rękę z kijkiem wprzód, prawe kolano silnie zginamy. — Kolana narciarza muszą być miękkie i sprężyste jak resory!



W ofenzywie.

Od jednego z naszych przyjaciół otrzymaliśmy bardzo charakterystyczny list, który w wyjątkach poniżej podajemy. Świadczy on jasno, że „ofenzywa" przerzuciła się na teren Śląska Czechosłowackiego i jest w pełnym rozwoju. Życzymy naszemu Przyjacielowi jaknajserdeczniej jaknajlepszych rezultatów w podjętej pracy. Dziękujemy Mu za zaproszenia nas na „wigilię" Jego drużyny. Niestety nie będziemy mogli na nią przybyć. Przyrzekamy za to wynaleźć chwilę wolną, by w roku 1934 zobaczyć Go w pracy „w terenie".

„...W czasie wolnym mego pobytu w wojsku zastanawiałem się, w jaki sposób najlepiej rozwinąć pracę harcerską na naszym terenie i w jaki sposób zainteresować nią wszystkie warstwy społeczeństwa. Z wielką radością skonstatowałem po dwuletniej praktyce, że moje sposoby organizacyjne udają się. I dziś śmiało mogę powiedzieć, że za dwa lata na moim terenie pracy powstanie kilkanaście drużyn tak męskich, jak i żeńskich, a harcerstwo stanie się tak popularne, jak w hufcu orłowskim. Teraz działam w nowym hufcu, który niebawem powstanie w Cierlicku Górnem. Narazie są w niem dwie drużyny: w Cierlicku i w Błędowicach Dolnych. Z nowym rokiem powstaną nowe: w Łąkach, Darkowie, Olbrachtowie i Mostach przy Cieszynie. Chcę porwać innych hufcowych do prac organizacyjnych, uważając, że nasze harcerstwo musi wzróść liczebnie. Po utworzeniu tego hufca, na linji Bogumin — Cieszyn nie będzie ani jednej miejscowości bez drużyny harcerskiej.

W hufcu orłowskim przygotowujemy kurs narciarski i wieczorek teatralny. Zaś drużyny — szereg bardzo urozmaiconych wigilijek harcerskich."

Żeglarze na lodzie.

Kiedy mróz zetnie wody rzek i jezior w lodowy pancerz, nie znaczy to, aby dla żeglarza przyszedł okres gnuśności i bezczynności. Uprawiając liczne sporty zimowe, żeglarz zaprawia się fizycznie przez całą zimę, aby wiosna zastała go w dobrej formie.

Prawdziwie żeglarskim sportem zimowym są **ślizgi żaglowe** — siodełko na szeroko rozstawionych płozach, opatrzone w żagiel. Ślizg taki, posuwany wiatrem, mknie szybko po lodzie, dając lodowemu żeglarzowi emocje prawdziwego żeglowania.

Dotychczas tylko drużyna w Chojnicach uprawiała ten wspaniały sport na jeziorze Charzykowskiem. Obecnie drużyna żeglarska w Brześciu n/Bugiem przystąpiła do budowy ślizgów, a tem samem do rozpowszechnienia tego sportu wśród mas młodzieży.

Na odcinku gospodarczym.

W dniu 3 grudnia odbyła się w Katowicach u Druha Przewodniczącego konferencja na temat spraw finansowo-gospodarczych Z. H. P. Roztrząsano na niej możliwości planowej akcji na tym odcinku w najbliższej przyszłości. Prawdopodobnie powierzy się jednemu z czołowych instruktorów opracowanie i przeprowadzenie planu zorganizowania strony gospodarczo-finansowej centrali i ośrodków prowincjonalnych.

Konferencja miała ułatwione zadanie dzięki wynikom obrad konferencji gospodarczej żeńskiej, jaka przed tygodniem odbyła się w Krakowie przy udziale przedstawicieli poszczególnych Chorągwi. Wnioski, przyjęte przez tę konferencję brzmią następująco:

1. Komendy Chorągwi powinny objąć opiekę nad pracą zarobkową drużyn,

2. w programach kształcenia drużynowych należy uwzględnić porządne przygotowanie do prowadzenia przez nie w drużynach działu pracy zarobkowej; wyrobić w nich zrozumienie wychowawczego oddziaływania tej pracy,

3. praca zarobkowa w drużynach powinna być prowadzona stale i programowo,

4. dziewczęta winny mieć udział materialny w zyskach z wykonanej roboty.

Praca ta ma pójść następującemi etapami:

1. organizowanie warsztatów pracy przez Komendy Chorągwi przy Komendach Chorągwi i przy hufcach,

2. zatrudnienie w warsztatach przedewszystkiem wszystkich bezrobotnych harcerek,

3. energiczne reklamowanie swoich przedsiębiorstw, oparcie ich organizacji na zasadach handlowych.

Na Tropie Zuchów.

Dział Wydziału Zuchów Głównej Kwatery Harcerek.

Dni uroczyste.

(Dokończenie).

Z pochodniami udało się dużo lepiej.

Z kory świerkowej chłopcy zrobili torebki, których boki zeszywali łykiem. Do środka włożyli żywicy i zatknęli na kijku. Druhny też będą miały takie same!

Wycięli też sobie z dykty godło — zgrabną łódeczkę z białym żaglem.

Wreszcie wszystko było gotowe. Nadszedł upragniony sobotni wieczór.

Było mglisto i zimno, ale mimo to już o siódmej zjawiło się kilkoro zuchów w naszym obozie, skąd miałyśmy wyruszyć na miejsce zbiórki.

Zbiórka wszystkich organizacyj naznaczona była na ósmą pod kościołem. Stanąwszy na placu zuchy i my zapaliłyśmy pochodnie. Wkrótce rozgorzały czerwonym migotliwym płomieniem. Przy biciu dzwonów i dźwiękach orkiestry góralskiej posuwał się nasz pochód po górskiej drodze wśród kwietnych łąk.

Na przedzie kroczyły zuchy w swoich nowiutkich czapeczkach. Nikogo prawie nie brakło. Nawet mały Śledzik wyrwał się matce i przyłączył do szeregu. Ściemniło się zupełnie, zaczął padać drobny zimny deszcz. Oczy zuchów utkwione były w pochodnie, twarzyczki wyrażały troskę, aby płomień nie zagasł, lecz płonął ciągle równo i jasno, tak właśnie, jak te watry rozpalone na Giewoncie, Czerwonych Wierchach i innych szczytach.

Weszliśmy w las. Tu stali rodzice zuchów. Widząc swoje pociechy tak dzielnie maszerujące, zaczęli bić brawo. Zajaśniały oczy zuchów, a krok stał się bardziej sprężysty.

Nagle jeden z zuchów wyskoczył z szeregu, podszedł do mnie i rzekł: — Druhno, czemu idziemy tak cicho, krzyczmy coś! — Doskonale — odrzekłam — ale co?

— No, coś o morzu, np. „Niech żyje polskie morze!"

Policzyliśmy sobie: raz, dwa, trzy, żeby było równo i krzyknęliśmy ile sił w piersiach: Niech żyje polskie morze. Po chwili za nami rozległ się podobny okrzyk. To inne organizacje poszły za naszym przykładem. Teraz na wyścigi wykrzykiwały zuchy: Nie damy Pomorza, polskiemu morzu cześć, niech żyją polscy marynarze. Inni też krzyczeli, ale nie tak ładnie i równo jak zuchy. Pewnie dlatego, że nie liczyli za każdym razem: raz, dwa, trzy.

Milczący dotąd pochód nabrał życia. Za okrzykami poszły piosenki. Zuchy pierwsze zaśpiewały pieśń o morzu, a za niemi rozśpiewały się harcerki, śpiewali też i górale. Orkiestry nie było już słychać. Wśród niemilknących okrzyków okrążyliśmy park i zatrzymali się przed tarasem sanatorjum, skąd ksiądz Mauersberger przemówił w kilku gorących pięknych słowach. Znalazło się też w przemówieniu miejsce dla małych kościeliskich marynarzy, którzy również postawą i obecnością zaznaczyli swoją gotowość.

Na tem skończyły się uroczystości tego wieczoru.

Gdy marynarze pod opieką druhen wracali do domu, co chwila trzeba było się zatrzymywać, bo pochodnie dogasały, a chłopcy chcieli koniecznie utrzymać ogień.

W pewnej chwili Lolek wpadł na nieszczęśliwy pomysł rozjarzenia pochodni przez wywijanie nią w powietrzu. W czasie takiego wywijania odprysł kawałek płonącej żywicy i upadł na policzek Jasia, parząc boleśnie.

Jasiek nie zdradził się żadnym jękiem, nikt nie zauważył, co się stało. Ból nie pozwalał mu jednak iść tak prędko i zaczął ciągle zostawać w tyle. Zbadałyśmy przyczynę.

W świetle pochodni ujrzałyśmy na drobnej twarzyczce Jasia spory znak oparzenia, a w oczach łzy. Zapytany, czy go boli — odrzekł cichutko: „Trochę... ale zuch musi być cierpliwy".

Ranka goiła się długo, a różowa blizna była jeszcze bardzo wyraźna na policzku Jaśka, gdyśmy odjeżdżały z Kościelisk.

Nazajutrz śliczna hala Pisana zaroiła się barwnym tłumem górali, wśród których szarzały mundury wojskowe i harcerskie.

Ołtarz, przy którym ksiądz Jan odprawił mszę św., wzniesiony na stoku, ubrany kilimami i górskiem kwieciem. U stóp jego jaśniały w szeregu białe czapki zuchów i żagiel ich wspaniałego godła. Po mszy udali się wszyscy pod Śpiącego Rycerza, skąd wypada szumiący potok, dążąc ku morzu. Tu odbyło się poświęcenie czystej, przeźroczej toni. W tym momencie wszyscy obecni przenieśli się myślą ku zielonym falom Bałtyku i ku płowemu naszemu brzegowi. Uroczystość skończona.

Za chwilę zaczniemy nową grę. W pobliżu wspaniałe skały (tu okręt się rozbije), tam dalej — bezludna wyspa. Już wszystko było obmyślone i gotowe, gdy nagle lunął deszcz.

Musieliśmy zmykać pod zwykłe „ludzkie" parasole.

Nie rozbiliśmy okrętu i nie byliśmy na bezludnej wyspie, ale zato uczciliśmy Święto Morza jak należy.

Bogdana Jakeschówna.

Kartki z kronik zuchowych.

W kronice 9-tej krakowskiej gromady „Duszków-Orzeszków" czytamy opis uroczystości przyjęcia nowych zuchów.

„Najpierw pokazałyśmy małym, jak zuchy pracują. Hala opowiadała bajkę o leszczynie i jej dzieciach-orzeszkach. Wanda była leszczyną, a ja i Basia byłyśmy orzeszkami. Reszta zuchów — to był las, kwiaty, słońce, rosa i wietrzyk. Była też Marysia sierotka i stara babuleńka. Robiłyśmy równocześnie wszystko to, o czem mówiła Hala w bajce. Ja i Basia pomagałyśmy Marysi zbierać jagody, babuleńce chróst, a kwiaty skrapiać wodą, bo więdły od gorąca.

Potem stanęłyśmy przed małemi zuchami i powiedziałyśmy: „Czy chcecie należeć do wielkiej gromady Duszków-Orzeszków?

Czy będziecie się starały czynić dobrze w domu, szkole, na ulicy i wszędzie?"

One powiedziały, że chcą i postarają się. Wtedy Leszczyna powiedziała: „A więc wejdźcie do koła i złączcie wasze ręce z naszemi na znak, że oddał należycie do rodziny Orzeszków". Zatoczyłyśmy wielkie koło i zaśpiewałyśmy pieśń naszej gromady „Jesteśmy Orzeszki".

Potem były różne gry i zabawy.



Jak to miło być zuchem!

Zuchy o sobie.

Święty Mikołaj miał się zjawić 6 grudnia u **Grzybowych Ludków** w Toruniu. Zuchy przeczuwały jego wizytę, więc dążyły śpiesznie do auli swej szkoły, prowadząc każde kogoś „swego".

Najpierw zbiórka gromady w szyku zuchowym, potem hasło i wesołe piosenki. Następują teraz pokazy poszczególnych gromadek.

Pierwsze „Muchomory" jako wiekiem i urzędem najstarsze, pokazują w „figielku kopytkowym", jak to można równocześnie i stać na głowach, i śpiewać i być dobremi zuchami. „Rydze", znów w rolach grzebyka, mydełka i miotełki, zachęcają dzieci do zawarcia jaknajserdeczniejszej przyjaźni z temi „istotami".

Wreszcie zjawił się gorąco oczekiwany św. Mikołaj w asyście aniołka, z licznemi darami, lecz i . . . rózgami. Wygłosiwszy należytą przemowę, zaczął rozdawać obficie tak upominki, jak rózgi — ku wielkiej uciesze gości.

Ogólną wesołość przerywa dźwięczny głosik zucha, który w kilku serdecznych słowach, ułożonych wierszem, dziękuje zebranym za wzięcie udziału w uroczystości zuchowej.

Leśne Ptaki z Warszawy w swym liściku piszą: „Minęło dwa tygodnie od zbiórki, na której pomyślałyśmy o przygotowaniu „gwiazdki" dla innych dzieci. Dziś w szafce za szkłem mamy cały skład zabawek, książek i odzieży. Nie nowe — naturalnie — ale czyste, porządne. Czy też będą się cieszyć?

Cichutko pod drzwiami ubogiego domu na przedmieściu, postawimy choinkę i paczki.

Potem — już nas niema!

Niech myślą, że to Święty Mikołaj...

Na harcerskim szlaku.

„WICHRY“ — drużyna istruktorek śląskich odbyły na Buczu w zeszłym tygodniu święto „Przyjaźni i Miłości“. Po wilji — zapaliły w lesie choinkę, składały sprawozdanie z ćwiczenia, mającego łączność z hasłem święta „Bożych Godów“, śpiewały kolendy i uczestniczyły w ognisku Buczanek. W konkluzji ćwiczenia postanowiono nawiązać kontakt z różnemi ośrodkami pracy instruktorskiej, a przedewszystkiem z innemi drużynami instruktorskiemi. (Poświst.)

AKCJA ZIMOWA Kom. Chor. Harcerzy Śląskich obejmuje cztery wielkie „wyczyny“: 1. kurs podharcmistrzowski, (na zakończenie odbędzie się próba na podharcmistrza), 2. kurs dla drużynowych, w którym biorą udział wszyscy p. o. drużynowych, którzy dotąd takiego kursu nie przeszli, 3. „rajd gwiaździsty“ hufcowych, drużynowych i przybocznych do Nierodzimia, wreszcie 4. Harc. Klub Narc., który odrazu począł działać sprawnie i przystąpił do realizacji swych pięknych planów, organizuje szereg kursów, wycieczek o odznakę górska i obozów wędrownych. (H.)

OBOZY ZIMOWE. Komendant Hufców Krakowskich urządza w czasie od 2—12. 1. 1934 r. szereg kursów, połączonych z obozami narciarskiemi. Wszystkie te obozy i kursy a więc tak dla A. S. P. H., „Watry męskiej i żeńskiej“, drużynowych jak i wodzów zuchowych, odbędą się w Soli koło Zwardonia.

KRAKOWSKI HARCERSKI KĄCIK RADJOWY. W bieżącym roku krakowska radjostacja nadaje kronikę i komunikaty harcerskie w każdą sobotę o godzinie 15,55—16-tej.

KONFERENCJA STARSZO-HARCERSKA. Dnia 22. 11. odbyło się w krakowskiem „Ognisku“ zebranie dyskusyjne na temat „Nowe zdobycze psychologji a programy harcerskie“. W zebraniu tem, bardzo zresztą licznem, wzięli udział: p. woiewodzina Kwaśniewska, dalej zaproszeni pedagodzy oraz czołowi instruktorzy harcerscy w Krakowie. Po referacie na wyżej wspomniany temat, wygłoszonym przez druha phm. dr. Józefa Garbacika wywiązała się dyskusja. (K. S.)

800 HARCERZY pomagało w najróżniejszych imprezach stowarzyszeń społecznych na terenie Warszawy w ciągu jednego tygodnia. Obliczenie to jest prawdziwie imponujące, jeśli się zważy, że cyfra tak wysoka powtarza się dosyć często.

DEKORACJE KIEROWNIKÓW PRACY HARC. odznaką komendancką p. w. Szereg osób z Naczelnictwa oraz obu Głównych Kwater zostało udekorowanych przez Dyrektora P. U. W. F. i P. W. p. pułk. Kilińskiego komendancką odznaką p. w. W swej serdecznej przemowie p. pułk. Kiliński zanaczył, że gdyby do apelu stanęli wszyscy polegli za sprawę niepodległej Polski — żołnierze, to co drugą sekcje trzebaby pozdrowić hasłem harcerskiem „Czuwaj!“, tylu wśród nich było harcerzy. — Wszystkim udekorowanym tą wielce zaszczytną odznaką, Druhom i Druhnom składa Redakcja „Na Tropie“ serdeczne gratulacje. (Mgr.)

DO NACZELNEJ RADY HARCERSKIEJ dokooptowano na ostatniem zebraniu dhów: Czarneckiego Wł., kom. chor. Pozn., oraz Marjana Łowińskiego, inspektora technicznego w G. K. Harc. (Sekr.)

TYDZIEŃ KSIĄŻKI HARCERSKIEJ rozpoczął się w dniu 26 listopada br. Główna Składnica Harcerska, której witryny pięknie na ten czas przybrano (praca art. mal. Czarneckiego) wysyła specjalne komplety książek harcerskich po cenach zniżonych. (W.)

KONFERENCJA KIEROWNIKÓW PRACY HARCERSKIEJ W BELGJI. W ostatnich dniach odbyła się w Brukseli konferencja kierowniczek i kierowników drużyn harcerskich w Belgji. Omawiano wiele spraw organizacyjnych i lokalnych. Druh Przewodniczący Dr. Grażyński otrzymał z odprawy następującej treści depeszę: „Pierwsza odprawa drużynowych w Belgji w obecności Kornela Chiczewskiego i delegatów K. P. H. śle zapewnienie gorącego przywiązania do Polski i przyrzeka krzewić ideje harcerskie wśród młodzieży polskiej na emigracji. Dragowski.

ZJAZD PRASY HARCERSKIEJ. W dniu 8 grudnia br. odbył się w Warszawie zjazd redaktorów prasy harcerskiej, mający na celu uzgodnienie akcji wydawniczej z ofenzywą na młodzież. Starano się określić ściśle charakter poszczególnych pism harcerskich, oraz wygłoszono szereg referatów na aktualne tematy.

Z ŻYCIA HARCERSKIEGO W LUBLINIE. Niedawno odbyła się w Lublinie odprawa hufcowych, którzy stawili się w komplecie. Do zebranych przemówił w bardzo serdecznych słowach p. hm. Lewicki, podkreślając znaczenie harcerstwa w obecnej dobie. W sprawozdaniach hufców uderzał olbrzymi wzrost liczebny drużyny, gromad zuchowych, a przedewszystkiem drużyn żeglarskich, które rozwijają się wszędzie, gdzie tylko istnieją warunki po temu. Szereg zbiórek pokazowych zakończył odprawę. (Ro-Or.)



Zespoły ping-pongowe I. D. H. z Bytomia (Śląsk Niemiecki) i I. D. H. z Chorzowa.

PING-PONG PRZEZ GRANICĘ. Dnia 5. 11. rb. odwiedzili I. D. harcerzy w Chorzowie druhowie z Bytomia (Śl. Op.). Goście rozegrali mecz ping-pongowy, ulegając gospodarzom. Po zawodach przyjęci zostali przez starszych harcerzy skromną herbatką. W serdecznym i miłym nastroju miały szybko chwile. Goście zapewniali nas, że tak serdecznie nie zostali jeszcze nigdzie przyjęci. Wspólna fotografja upamiętniła tę chwilę. (K.)

Z DALEKIEJ PARANNY (Brazylja), gdzie znajduje się największa grupa Polaków na obczyźnie, przysyłają między innemi Harcerstwu Płockiemu podziękowania za przysyłanie książek, gazet, fotografij i pocztówek. (D. P.)

K. P. H. POMAGA DRUŻYNOM ZAROBIĆ PIENIĄDZE W dniu 2. 12. K. P. H. przy żeńskim hufcu katowickim urządziło imprezę dochodową „Andrzejki“. Dzięki usilnym staraniom Zarządu Koła czysty dochód z tej imprezy wyniósł przeszło 500 zł, chociaż wstęp kosztował tylko 25 gr. Zabawa była urządzona w ten sposób, że każda drużyna miała swoje stoisko i namiot, albo grotę w gościnnych wnękach auli szkoły wydziałowej; tam odbywały się rozmaite wróżby, kabały, wróżenia z ręki, z igły, z świecy, znane talerze, wosk i ołów topiony i t. p.

Zarobki z wróżb zbierane były do specjalnych skarbonek przy stoiskach, aby odciążyć tłumy od kasy centralnej. (Zefirek)

HUFIEC KRESOWY HARCEREK. Przed dwoma miesiącami powstał z drużyn, istniejących w granicznych powiatach Wielkopolski, Hufiec Kresowy. Obejmuje on następujące środowiska: Międzychód, Sieraków, Obrzycko, Słopanowo, Czarnków, Lubasz, Kruszewo. Harcerki z Międzychodu planują stworzenie ogrodu warzywnego i zakładają drużynę zuchów. W Obrzycku harcerki wezmą udział w akcji odżywiania dzieci szkolnych, przygotowując posiłki. Wiejskie harcerki z Słopanowa urządziły zbiórkę odzieży, którą naprawiają z zamiarem wysłania na gwiazdkę żołnierzom z K. O. P. Siedzibą Komendy Hufca jest Poznań, Komendantką Dhna J. Piekarczykowa. (S. P.)

POMOC BEZROBOTNYM pięknie zorganizowali harcerze wielkopolscy. Postanowili oni: 1. zaagitować na terenie szkoły wśród chłopców, by każdy z nich choć raz oddał śniadanie na rzecz bezrobotnych, 2. postarać się o kilka koszy, lub pudełek, które postawi się na korytarzach, by chłopcy mieli gdzie składać chleb, 3. wyznaczyć na terenie każdej klasy kierownika tej akcji — harcerza, 4. porozumieć się z miejscowym oddziałem Caritas i zorganizować codziennie po lekcjach przesyłkę zebranej żywności do danego Towarzystwa. (K. Z.)

BUDOWA NOWEJ PRZYSTANI HARCERSKIEJ W NIEMNIE. Harcerska Drużyna Żeglarska w Niemnie przy poparciu Głównej Kwatery Harcerzy i pomocy p. dyr. Stollego, przystąpiła do budowy przystani harcerskiej w Niemnie. Przystań ta oprócz pomieszczenia drużyny i wszystkich łodzi harcerskich będzie dostępna na prawach gościny innym Związkom sportowym i organizacjom p. w. Przystań w Niemnie będzie również punktem postoju dla wycieczek wodnych, gdzie turyści znajdą wygodne noclegi, warsztaty do naprawy i t. p.

KURSY PRZESZKOLENIOWE organizuje Kom. Chor. Wielkopolskiej. Mają one na celu doszkolenie z zakresu metodyki, pracy wychowawczej, administracji, żeglarstwa, lotnictwa, oraz techniki wszystkich działów. Kursy te odbywają się w soboty, niedziele i poniedziałki, względnie dni przed i poświąteczne.

Przyjaciele ze świata.

Otrzymaliśmy od jednego z naszych prenumeratorów poniższy list, który bez zmian podajemy. Jest to drobne świadectwo rezultatów naszych wyjazdów zagranicznych. Tak, jak ten Węgier, który już nieźle pisze po polsku i który oprócz Jerzego ma jeszcze „5 Polski Freund“, tak łańcuch naszych harcerskich przyjaciół rozciąga się daleko aż na drugą półkulę. Te, zdawałoby się małe, drobne liściki, ponieważ idą już w setki, szerzą znajomość Polski, a nam samym przynoszą przyjaciół, którzy dążą do tego samego co i my celu.

Debrecen, 19. X. 1933.

Kochany przyjacielu Jerzy!

Ja dziękuję ci bardzo za fotografję i za list. Mam nie jeszcze Jamboree znaczki, lecz przyślę ci w drugi liście. Teraz posyłam ci dawno znaczki węgierskie i moim fotografję. Lieber Jerzy ich habe ein grosse bitte zu Dir: wenn Du kannst, schicke mir Jamboree Fotografien und ich werde Dir auch ungarische Jamboree Fotografien schicken. Wir werden wieder „tschentschen“ als im Jamboree. Gut?

Ich frage von Dir, dass hast Du noch ungarisch Freund mit wer Du korrespondować? Ich habe noch 5 Polski Freund und wir schreiben Briefen jeden Monat Im ein anderen Brief ich warde Dir noch Briefmarken und Fotografien schicken.

Hast Du viel arbeit im Deinen Pfadfinderschar? Du bist ein „örsveretö“? Ich bin ein Unteroffizier im meinem Pfadfinderschar, mit ungarisch Sprache: „Segedtiszt“ und ich habe jetzt sehr viel arbeit, weil wir werden ein Vorstellung machen und ich muss dressieren den Knaben.

Ich bitte schreib mir sehr viel.

A teraz kończę mój list i życzę ci dobrego zdrowina i życzę ci przyjemnej zabawy, cię węgierski przyjaciel:

Bela.

Czuwaj! Do widzenia!
Jó munkat!
Legy resen!

Proszę odpisz.

Pisz do mnie po polsku und po niemiecku.

„WIELKI, ŚLĄSKI KONKURS“

przyniósł wspaniałe rezultaty! Odpowiedzi napłynęło bardzo wiele. Prosimy więc uczestników konkursu o cierpliwość, aby Komisja Sędziów mogła sumiennie ocenić wynik Waszej pracy, przy której niejednokronie tak wiele zadaliście sobie trudu.

Postaramy się choć skromnie ją Wam wynagrodzić. **Redakcja.**

Prenumerata „Na Tropie“: z przesyłką pocztową rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1,80 zł., miesięcznie 80 groszy. Cena numeru 40 groszy. Należytość za prenumeratę należy uiszczać z góry. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal. W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji. Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“. Konto w PKO. Katowice Nr. 305.330.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski. Odbito w Drukarni Śląskiej Sp. z o. o. Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.